

Łódź **Odgłosy** tygodnik społeczno-kulturalny

NUMER 10 (1562)

ROK XXXI

5 MARCA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

U nas zamiast zimy — wiosna, w Anglii — szaleństwo handlowe dla amatorów narciarstwa. Tylko skąd brać funty?

Technika przywraca radość życia

MAREK BRZEZIŃSKI



Gazety, radio „Capital”, czyli londyńska „trójka”, i ogłoszenia umieszczone na wystawie w „Lillywhites”, największym sklepie sportowym w Wielkiej Brytanii, mieszczącym się w starym wiktoriańskim budynku, w samym centrum Londynu, przy Piccadilly Circus, informowały o spotkaniu z Martinem Bellem.

Kim jest Martin Bell? Martin Bell jest najlepszym narciarzem Wielkiej Brytanii sklasyfikowanym na 17 miejscu FIS.

Gdy trwała olimpiada w Montrealu byłem w Londynie. Na próżno oczekiwałem wtedy wiadomości dotyczących lekkiej atletyki, piłki nożnej czy podnoszenia ciężarów. Brytyjczycy nie odnosili wówczas sukcesów w tych dyscyplinach. Nie było mowy o amatorskim futbolu olimpijskim. W relacjach telewizyjnych królował fenomenalny młody człowiek, który wciąż płynął na ekranie ostatnie dziesięć metrów aby zdobyć dla Wielkiej Brytanii złoty medal. Także upadek księżniczki Anny absorbował uwagę czytelników i widzów. Wszystko inne odchodziło w cień. Jadąc na początku zimy 1986 roku do Anglii byłem trochę zmartwiony, że nie będzie mi dane oglądać slalomów Pucharu Świata. A tu, w samym sercu Wysp Brytyjskich, dobry Pan Bóg zesłał mi Martina Bella.

Ma dwadzieścia dwa lata, miły uśmiech i dobrą głowę do businessu.

Spotkałem go na reklamowanym szeroko otwarciu nowego sztucznego stoku narciarskiego położonego w hrabstwie Kent. Jedzie się tam 30 min. pociągami z Londynu.

Przyjechaliśmy późnym wieczorem. Stok rześkie oświetlony przypominał stoisko ze sztucznymi szczotkami wyłożonymi w supermarkecie. Przywitano nas grzanym winem. Service nart „Dynastara”, butów „Nordica” i wiązań „Looka” zaopiekował się nami bardzo serdecznie. Starannie dobierano narty zarówno z popularnej linii sportowej „Dynastar Course”, jak i z szeroko reklamowanych, jednych z najdroższych obecnie na rynku brytyjskim, bo kosztujących 350 funtów nart „Dynastar Legend”. Firma ta produkuje obecnie narty, nie tylko inne dla kobiet i dla mężczyzn, uwzględniając różnice w punkcie ciężkości narciarek i narciarzy, ale także wprowadza na rynek narty tak zwanego systemu „Dual Action”. Jedną krawędź narty jest zbudowana w oparciu o twardy materiał — Grantix, drugą o miękki Polypor. A więc do jazdy po miękkim śniegu używa się jednej strony narty, a gdy wędzamy na lód wystarczy zamienić prawą nartę na lewą i już leżdziemy twardymi krawędziami.

Mogliśmy przebiegać i wybierać w nartach, ale organizatorzy nie kwapili się, aby umożliwić nam jazdę na tych, na których Graham Wilkie bił rekord świata w szybkości jazdy na nartach. No, ale stok ma zaledwie 200 metrów długości, a narty 240 cm. Zaproszono nas natomiast po szaleństwach nocnej jazdy na sztucznym stoku na bankiet promocyjny. Tam też miałem okazję porozmawiać z Martinem Bellem.

— Robi się wokół twojej osoby wiele zamieszania. A przecież jesteś sklasyfikowany na liście FIS na 17 pozycji.

— W Anglii mamy bardzo długie tradycje w narciarstwie alpejskim. Zwróć uwagę na to, jak popularne są wyjazdy z



Rys. Janusz Szymański-Glanc

PERU: Czy na płaskowyżu Nazca 1 073 400 000 lat temu lądowali kosmici?

Dwoje doktorów w poszukiwaniu kandelabra

RYSZARD NAKONIECZNY

W jednym z wczesnych filmów Carlosa Saury jest wspaniała scena retrospekcyjna.

Kamera wolno wjeżdża do przestronnej jadalni, mijając stół, przy którym każde dziecko chciałoby jadać obiad i skupia się na oglądaniu srebrnej zastawy przypominającej kolumnę średniowiecznych rycerzy gotujących się do zdobycia pogańskiego miasta. Ale może samo to miasto... Wszystko jest jakby lekko przynaglone, chociaż widać każdy szczegół. A nad całą sceną unosi się delikatne dzwonienie; doskonale pasuje do nastroju, wydaje się jednak trochę banalne, ale tylko do momentu, w którym kamera zaczyna panoramować w górę odsłaniając olbrzymi kandelabr zbudowany z niezliczonej ilości drgających, kryształowych sopli...

Człowiek zawsze zdradzał skłonność do podróży w przeszłość; po części w celach czysto sentymentalnych, a po części w nadziei odnalezienia wskazówek mogących pomóc mu w rozwiązaniu problemów teraźniejszości i przyszłości. Nic więc dziwnego, że skłonność ta gwałtownie rosła, gdy teraźniejszość, zamiast kandelabra, zapalała same tylko gołe, ostre żarówki, przyszłość zaś w ogóle zalegała nieprzeniknione ciemności wypełnione jedynie krótkimi błyskami lampek alarmowych.

Dla pojedynczego człowieka sytuacja taka nie jest niczym szczególnym, wielokrotnie przeżywał ją także mniejsze i większe wspólnoty, dziś jednak — prawdopodobnie po raz pierwszy w dziejach — dotyczy ona całego gatunku. Tym razem nie idzie o oglądanie zlatanych zdjęć, konstruowanie zawiłych drzew genealogicznych czy odwoływanie się do heroicznych tradycji miasta i narodu.

Pilnie potrzebne jest dotarcie do korzeni człowieka

w ogóle, odszukiwanie ogromnego, kryształowego kandelabra dla homo sapiens. Przynajmniej na razie nie spełnia tego zadania zbyt dobrze nauka. Jej operujące się na stochastyce, bądź odwołujące do neotemii teorie wprowadzona z nich etyka, to w najlepszym razie propozycja dla jednostek. Wbrew pozorom okazuje, choć taki kandelabr to nie samochód ani technika seksualna i nie bardzo wiadomo jak go używać na co dzień, bez niego robi się cokolwiek smutno i byle jak — w obliczu zmierzchu tradycyjnych, ludzie ruszyli więc na poszukiwanie nowych...

Kandydatur przewinęło się dużo, a tymczasem w Peru, na półwyspie Paracas, od dawien dawna istniało coś takiego: wielki relief nazywany powszechnie Kandelabrem Andów.

Bardzo długo jednak nie wiedziano co z nim zrobić. Nie sposób było określić, kto i kiedy go wyrysował, nie sposób było nawet odgadnąć celu, jakiemu tuż przed Biora pod uwagę jego olbrzymie rozmiary i usytuowanie, najprostsza wydawałaby się koncepcja znaku nawigacyjnego. Tylko że na skutek wysokości linii brzegowej w tym miejscu oraz stopnia nachylenia zbocza, Kandelabr jest z morza niemal kompletnie niewidoczny, z ziemi zresztą też widać go zaled-

Ogłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32 99-70,

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora

naczelnego: Edmund

Lewandowski.

Sekretarz redakcji:

Grażyna Olechnowicz

Kierownik działu:

literackiego: Henryk

Pustkowski

Redaktor techniczny:

Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,

Dariusz Dorożyński,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa

Jerzykowski, Andrzej

Karolczak, Roman Kubiak

Jerzy Kwieciński, Bogda

Madej, Andrzej Makowiecki,

Paweł Tomaszewski,

Jolanta Wrońska,

Marian Zdrojewski.

Grafik: Janusz

Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz

Galasiński.

Korekta: Mariola Knaga,

Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:

Tadeusz Błażewski,

Marek Brzeziński (Londyn),

Bohdan Gadomski,

Grzegorz Gazda, Witold

Kasperkiewicz, Andrzej

Kempa, Wasył

Kocznów (Iwanowo),

Marek Koprowski,

Włodzimierz Krzemiński,

Zenon J. Michalski,

Ryszard Nakonieczny,

Adam Ochocki, Jerzy

Panasewicz, Karol J.

Stryjski, Maciej Świerkocki.

Wydawca: Łódzkie Wydawni-

ctwo Prasowe RSW „Prasa-

-Książka-Ruch” 91-103 Łódź,

ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Gra-

fiiczne RSW „Prasa — Książka

— Ruch” Łódź, ul. Armii Czer-

woniec 28

Redakcja nie zwraca nie za-

możonych reklam i zastrze-

ga sobie prawo do skrótnych. Za

treść ogłoszeń redakcja nie od-

powiada

Warunki prenumeraty: 1. Dla

instytucji i zakładów pracy —

zlokalizowane w miastach woj-

ewódzkich i pozostałych miastach

w których znajdują się siedziby

Oddziałów RSW „Prasa —

Książka — Ruch” zamawiają

prenumeratę w tych oddziałach

— instytucji i zakładów pracy

zlokalizowane w miejscowościach

gdzie nie ma Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli 2.

Dla indywidualnych prenumera-

tów — osoby fizyczne zamieszka-

łe na wsi i w miejscowościach,

gdzie nie ma oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli, osoby

fizyczne zamieszkałe w miastach

— siedzibach Oddziałów RSW

„Prasa — Książka — Ruch” o-

placają prenumeratę w urzędach

pocztowych i u doręczycieli, osoby

PREZES
ROBOTNICZEJ SPÓŁDZIELNI WYDAWNICZEJ
„PRASA — KSIĄŻKA — RUCH”

Proszę przyjąć z okazji trzydziestolecia pisma serdeczne gratulacje i życzenia w imieniu Zarządu Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch” i moim własnym. Z satysfakcją stwierdzam, że pismo Wasze zdobyło trwałe miejsce w życiu społeczno-kulturalnym miasta Łodzi i regionu zyskując uznanie i popularność wśród szerokiej rzeszy swych czytelników.

W dniu jubileuszu życzę pismu dalszego pomyślnego rozwoju oraz nowych twórczych inicjatyw, a członkom Zespołu Redakcyjnego wiele pomyślności w życiu osobistym.

dnia 23 lutego 1988

WIESŁAW RYDYGIER

Przegląd prasy

Według danych Banku Światowego w 1985 roku dochód narodowy Polski na jednego mieszkańca wynosił 2120 dolarów. Na liście 136 krajów świata (powyżej 1 mln ludności) zajmowaliśmy 38 pozycję. Przed nami były m.in. takie kraje jak: Argentyna 2130 dol., Algieria — 2530 dol., Wenezuela — 3010 dol., Trynidad i Tobago — 6010 dolarów. W latach 1980—85 spadliśmy o trzy pozycje. Wyprzedziły nas Korea Południowa, Tajwan i Rumunia. Najwyższy dochód narodowy brutto posiadały: Zjednoczone Emiraty Arabskie — 19120 dol., Brunel — 17580 dol., Stany Zjednoczone — 16400 dolarów. A zamknęły listę: Etiopia — 110 dol., Laos — 95 dol. i Czad — 80 dolarów.

W wielu dziedzinach produkcji znajdujemy się w pierwszej dziesiątce krajów świata. Natomiast wskaźniki dotyczące warunków życia sytuują nas około trzydziestego miejsca. Ustalił to na podstawie różnych danych statystycznych i napisał w „PRZEGŁADZIE TYGODNIOWYM” (nr 8) Henryk Jabłoński. Najbardziej zaskoczyła go zła pozycja Polski pod względem liczebności studentów.

„W 1975 roku było ich w Polsce 1692 na 100 tys. mieszkańców, co według rocznika UNESCO na liście 137 krajów zapewniało 21 pozycję, w 1983 natomiast już tylko 1294, co lokowało Polskę daleko poza krajami wysoko uprzemysłowanymi, bo aż na 48 pozycji. Tutaj nie może być błęd. Kryteria zaliczenia poszczególnych typów szkół do uczelni wyższych w obu porównywalnych okresach nie zmieniły się. Spadek wynosił aż 27 pozycji. Wyprzedziły nas m.in. takie kraje, jak: Singapur, Meksyk, Panama, Boliwia, Kolumbia, Peru, Egipt, Korea, Tajlandia, Wenezuela, Kostaryka”.

W 1980 roku udział studentów w danej grupie wiekowej wynosił w Polsce 17,6 proc., a sześć lat później zmniejszył się do 15,9 proc. W tym czasie człowiekowi światowa miała następujące wskaźniki: Stany Zjednoczone — 57,3 proc., Kanada — 44 proc., Szwecja — 38,2 procent. Co z tego wynika? Autor wyciąga dwa wnioski:

„Po pierwsze upada mój, że jesteśmy wykształceni. Raczej jest to społeczeństwo niedouczony, poza średnim poziomem europejskim. W Szwajcarii 21,2 proc. mieszkańców posiada wyższe wykształcenie, w Szwecji — 15,4; a w Polsce według nie najświeższych danych tylko 5,7 proc. Już lepiej jest w innych krajach socjalistycznych: ZSRR — 8,3; Węgry — 7,0 proc. Po drugie — ta czarna strzałka na wykresie potwierdza obiegową prawdę, że myślenie w Polsce nie ma żadnej ceny. Nie jest oczywiście bezcenne, lecz odwrótnie. Wykształcenie nie zapewnia ani awansu materialnego, ani społecznego, ani szacunku, za myśl mało kto godziwie płaci. Machanie topatą w wielu wypadkach daje lepsze efekty niż wiele lat żmudnej pracy umysłowej”.

Inteligencja polska poniosła ogromne straty w czasie wojny i okupacji hitlerowskiej. Spośród tych, którzy ukończyli szkoły w latach międzywojennych, zginęło 37,5 proc. osób z wykształceniem wyższym, 30



Edmund Lewandowski

rednicy, nauczyciele, księża i inni. Spora część z nich nie wytrzymała trudów podróży i surowych warunków zesłania: większość mogła opuścić ZSRR w 1942 (ewakuacja armii Andersa), w szeregach armii gen. Berlinga w 1944 i w powojennych repatriacjach. Pośród internowanych w ZSRR oficerów polskich, tylko mniej niż 2 tys. odnalazło się po zawarciu polsko-radzieckiego porozumienia latem 1941. Wśród ofiar pomordowanych w łasku katyńskim zidentyfikowano około 4200 osób”.

Na tle struktury klasowo-warstwowej polskiej inteligencji poniosła względnie największe straty. W dodatku zostały rozbita i rozproszona (poza Krakówem) główne skupiska inteligencji i ośrodki kultury: Warszawa, Poznań, Łódź, Wilno.

Po wojnie w wyniku akcji przesiedleńczej prawie cała inteligencja opuściła Wileńszczyznę. Wyjątkiem było duchowieństwo. Pozostał tam przynajmniej co drugi ksiądz. W 1948 roku naliczono 82 polskich księży. O Polakach na Litwie pisze w tygodniku „ŁAD” (nr 9) Adam Hlebowicz.

W latach 1945—47 przesiedlono z Litewskiej SRR do Polski 177814 osób. W tym 107613 osób pochodziło z Wilna. Następnie około 245 tys. osób przybyło z Litwy w latach 1955—56 i 1959. Po tych migracjach spis ludności z 1959 roku wykazał jeszcze 330 tys. Polaków w Litewskiej SRR.

Zbiorowość ta różni się od pozostałych grup polonijnych w ZSRR.

„Zamieszkuje oni do dziś, w odróżnieniu od innych regre-

Do Zespołu Redakcyjnego
tygodnika „Ogłosy”
Łódź

NA WŁASNY RACHUNEK

Wołanie o pomstę

Przez wiele krajów przetaczają się namiętne sprzeczki wobec stosowania kary śmierci, gdzieś indziej zresztą jest to już sprawa przebrzmiała ze względu na zniesienie tego najsurowszego środka. Zresztą wydaje mi się, że historycznie rzecz ujmując można się spodziewać zanikania „najwyższego wymiaru kary” na tle ogólnych postępów humanitaryzmu, który nie bez oporów i nieraz przejściowych regresów toruje sobie jednak drogę do ludzkich umysłów.

W polskim społeczeństwie panuje dość specyficzna aura wokół kary śmierci. Gdy gdzie indziej bywa regułą, iż raczej rządy niż społeczeństwa są zwolennikami najsurowszej represji karnej (w przeciwieństwie, iż znakomicie ułatwia to rządzenie), u nas natomiast władza — podobnie jak w wielu innych sprawach, tak i w tej — są liberalniejsze od konserwatywnego trzonu społeczeństwa, które, jak świadczą przeprowadzane ankiety, w surowości prawa wobec przestępców popołychniej upatrują gwarantując swego spokoju i bezpieczeństwa.

Myślę, że warto przy tym zwrócić uwagę na fakt, że zarysowują się wyraźnie dwie przeciwstawne postawy — emocjonalna wśród zwolenników kary śmierci i refleksyjna wśród jej przeciwników.

Na silne zacietrzewienie emocjonalne zwolenników pozbawiania ludzi życia w majestacie prawa wskazuje ich zupełna niechęć do zapoznawania się z wynikami cudzych doświadczeń. Wbrew stwierdzanym w świecie faktom, które mówią, iż zniesienie kary śmierci nie wpływa na istotniejszym stopniu (lub nawet wręcz) na liczbę najcięższych przestępstw, zagrożonych przedtem tym najwyższym wymiarem kary, upierają się oni — wyłącznie na podstawie wewnętrznej przekonania, że tylko kara śmierci jest w stanie odstraszając potencjalnych przestępców przed popełnieniem zbrodniczego czynu, a ponadto jedynie fizyczna likwidacja niebezpiecznego przestępcy daje rękojmię, iż nie po-


pełni on zbrodni po raz kolejny (w to, że skazany na dożywocie nie więzieniu odsiedzi całość wymierzonej kary, na ogół się nie wierzy).

Emocjonalna stronnictwo ankietyowanych zwolenników najsurowszej kary i ich zdecydowana przewaga liczebna nad jej przeciwnikami jest, jak sądzę, przejawem pewnych postaw ogólniejszych. Poza bowiem samą emocjonalnością, zauważalną nie tylko wobec tego zagadnienia, ujawniają się tu przynajmniej dwie przyczyny skłaniania się ku rozwiązaniom bezwzględny.

Jedną z nich jest powszechność postaw agresywnych, które, jestem przekonany, rozpowszechniły się pod wpływem hitlerowskich okrucieństw w czasie ostatniej wojny, a ciągle niedostatek stabilizacji życia i częste zmiany kryteriów ideowo-moralnych, pogłębiając znerwicowanie znacznej części społeczeństwa, jeszcze tę agresywność zaostrzyły. I jeśli na co dzień wobec bliźnich przykrości i dokuczliwości ze strony innych ludzi przywykliśmy reagować niewspółmierną gwałtownością, to trudno oczekiwać, żeby na popełniane przestępstwa (odczuwane zawsze jako potencjalne zagrożenie własnej osoby) reagowało się inaczej niż wybuchem nienawiści i pragnieniem zemsty, ułotomianej z karą.

Zresztą w imię czego mieliby się ludzie emocjonalnie powściągać? W imię humanitaryzmu, uważanego za mrzonkę lub frazes? Czy w imię chrześcijańskich zasad miłości bliźniego, najzupełniej obcych powierzchownej, dewocyjnej postawie? Komu w pragmatycznym świecie trafia do przekonania refleksja. Dostojewskiego, że potencjalny zbrodniarz, to człowiek nieśczęśliwy, któremu nie dano zaznać niczyjej miłości...

Innym powodem domagania się najsurowszych kar jest, jak uważam, irracjonalna niewiara w skuteczność oddziaływań wychowawczych, na tle zakorzenionego przeświadczenia, że zło lub dobro są człowiekowi wrodzone; niewiara w to, że ktoś może po jakimś czasie żałować lub wstydzić się popełnionego występku. Żadna więc szkoła, żadne więzienie nie potrafią w powszechnym mniemaniu zrobić z kogoś kto popełnił przestępstwo człowieka pełnowartościowego, przywrócić go społeczeństwu. Mniej kłopotliwe więc skrócić go o głowę niż zadać sobie trud niepewnej reedukacji. Obserwuje się niechętny czy nawet wrogi stosunek (zamiast współczucia) do małoletnich pensjonariuszy domów wychowawczych.

Wydało mi się, że dopóki nie zdołamy przez stabilizację warunków życia i racjonalizowanie programów wychowawczych (przez poszanowanie nauki zamiast tak modnej pseudonaukowej szarlatanerii), zmniejszyć napięć nerwowych i pobudzić ludzi do refleksyjności, dopóty podyktowane emocjami wołanie o zemstę zamiast kary będzie miało powszechne poparcie. Chyba że zniesienie kary śmierci przekona ludzi post factum o trafności tej decyzji.

Bo przecież zniesienie kary śmierci nie powinno być rezultatem publicznych ankiet, lecz suwerenna decyzja czynników najwyższych, odpowiedzialnych za kształtowanie stanu umysłów.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

— Samotnie przepłynął Atlantyk w szalupie bez radia i sekansu. Był oficerem na statkach panamskich i liberyjskich. Mieszkał wśród Indian w Kolumbii. Przemierzył Syberię, Afrykę i Amazonię. Pracował w kopalniach złota i diamentów. Osiadł we Włoszech. Założył szkołę przetrwania. Odwiedził Łódź, ale nikt tego nie spostrzegł — reportaż MARKA KOPROWSKIEGO.

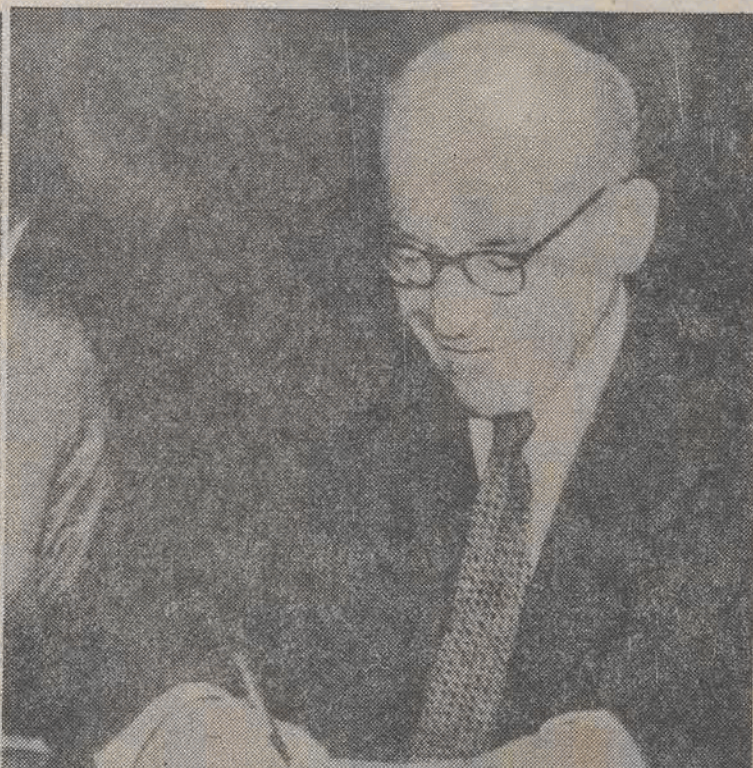
— LAWRIENT BIERIA został skazany i stracony za łamanie praworządności — materiał na temat kariery i upadku byłego ministra spraw wewnętrznych i zastępcy premiera ZSRR.

— Czy Szwecja stanie się konkurencyjną dla Hamburga i Kilonii? Jest propozycja utworzenia wolnego obszaru celnego i perspektywa ogromnych zysków w twardej walucie — reportaż ANDRZEJA GEBAROWSKIEGO pt. „Strefa marzeń i nadziei”.

— Co sądzysz Skierniewice stając się miastem wojewódzkim? Są tu trzy restauracje, dwie kawiarnie, jedna księgarnia, kino, apteka. Nie ma domu towarowego, hotelu i dworca autobusowego i prawdziwego szmaragdów, a dworzec PKP wymaga remontu — reportaż PAWŁA TOMASZEWSKIEGO



Bolesław Bierut



Władysław Gomułka



Franciszek Jóźwiak

Zerwany kontakt z Moskwą. Spory o „Manifest KRN”. Zbyt wąska baza polityczna i nerwowa reakcja obozu londyńskiego.

Jak przygotowywano Krajową Radę Narodową

ANDRZEJ WERBLAN

„Książka i Wiedza” przygotowała książkę Andrzeja Werblana pt. „Władysław Gomułka — sekretarz generalny PPR”, która ukaże się w najbliższym czasie. Autor udostępnił „Odgłosom” trzeci rozdział tej książki pt. „Od KRN do PKWN”. Publikujemy drugi fragment z tego rozdziału. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji. Ważniejsze przypisy wyprowadziliśmy do tekstu.

Spory o koncepcję.

Poważną konsekwencją jednostronnego aresztowania Pawła Findera i Małgorzaty Fornalskiej było przerwanie łączności z Moskwą. Organizatorką łączności była Małgorzata Fornalska, a szefy jej oprócz niej Paweł FINDER. Wcześniej już nastąpiły aresztowania wśród następujących: tak więc odpowiedzi Georgi Dymitrowa na pytanie o stanowisko w sprawie KRN kierownictwo PPR już nie mogło otrzymać.

Wydało się, że brak akceptacji Georgi Dymitrowa i niemożność niezwłocznego wyjaśnienia tej kwestii wskutek przerwania się łączności nie peszyły „Wiesława”. Był zdecydowanym zwolennikiem utworzenia krajowego ośrodka politycznego lewicy będącego zależnym od władzy państwowej. Oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że istnieje możliwość utworzenia tego typu ośrodka za granicą, w ZSRR, na bazie Związku Patriotów Polskich i armii polskiej tam sformowanej. Biorąc pod uwagę układ sił w społeczeństwie polskim, musiał widzieć poważną niedogodność dla lewicy w rywalizacji z dwoma rządami „emigracyjnymi” — jednego w Londynie, a drugiego w Moskwie. Obserwował uważnie przygotowania obozu londyńskiego do powołania krajowej instytucji przedstawicielskiej solidniejszej niż Krajowa Reprezentacja Polityczna. Jak wiadomo, prace nad utworzeniem Rady Jedności Narodowej były jesienią 1943 r. zaawansowane, przeciągały się jedynie spory kompetencyjne co do jej powołania i usytuowania.

Jeszcze wcześniej, we wrześniu 1943 r., RPPS wraz z kilkoma mniejszymi organizacjami utworzyły Naczelny Komitet Ludowy. Władysław Gomułka był przekonany, że czas nagli. Nie bez racji przewidywał, że utworzenie załóżki przyszłej władzy przez PPR w kraju da jej pewne atuty. Długi okres okupacji i działalności podziemnego ruchu oporu musiały bowiem wytworzyć obiektywne przesłanki dla sprzeczności i rywalizacji między krajami a emigracją, tym silniejszą, im bliżej wyzwolenia. PPR od wiosny 1943 r. coraz silniej wysuwała hasło utworzenia nowego rządu wolnej Polski w kraju i na bazie krajowej. Deklaracja listopadowa najlepiej świadczy o osobistym zaangażowaniu Władysława Gomułki w tę sprawę.

W artykule „O armię ludu” ogłoszonym 22 listopada 1943 r., domagając się utworzenia Armii

Ludowej i stworzenia dla niej politycznej podstawy w postaci „międzypartyjnego porozumienia demokratycznych ugrupowań w kraju”, wołał z pasją: „Czas nagli. Dyktuje rzeczywistość otaczająca Polskę. Inne koncepcje zawiodły i zbunkrutowały. Działaczom polskiego obozu demokratycznego pora, najwyższa pora zmienić front”.

Już w dwa dni po aresztowaniu „Pawła i Jasi” tj. 16 listopada 1943 r., zebrała się zdekompilowana „trójka” z udziałem Bolesława Bieruta i zatwierdziła projekt dokumentu proklamującego KRN. Z dwu wariantów opracowanych przez Gomułkę i Bierut uznano ten pierwszy za zdecydowanie lepszy. Ze swej strony Gomułka w sytuacji skomplikowanej strata dwu czołowych postaci ruchu zgodził się na propozycję Bolesława Bieruta w sprawie terenowych rad narodowych. Nie chciał przedłużać sporu o sprawę mimo wszystko drugorzędna.

Opracowaną przez siebie platformę Władysław Gomułka zatytułował: „Manifest demokratycznych organizacji społeczno-politycznych i wojskowych w Polsce”. Poszczególne, nieznacznie różniące się publikowane wersje tego tekstu noszą daty bądź „grudzień 1943”, bądź „15 grudnia”. Przyjęło się tę ostatnią datę uważać za miarodajną, gdyż w tym dniu „Manifest” został ogłoszony w „Trybunie Wolności” (nr 46), a także ta data opatrzone jest pismem KC PPR do KC RPPS proponujące udział w tworzeniu KRN. Wraz z tym pismem przesłano socjalistom „Manifest”. W rzeczywistości „Manifest” był gotowy od blisko miesiąca i trwały zabiegi o pozyskanie możliwie szerokiego i reprezentatywnego grona jego sygnatariuszy. Okazało się to trudne.

Z publikacją „Manifestu” wiąże się incydent drobny, ale rzucający światło na charakter Władysława Gomułki. Mianowicie już po przygotowaniu tekstu do druku w „Trybunie Wolności” Władysław Gomułka ostro skrytykował język dokumentu, brak precyzji i zapowiedział, że przygotowuje poprawioną wersję. Władysław Gomułka zdemotywował się i oświadczył Bieńkowskiemu:

— Możesz sobie poprawiać, ale w prasie partyjnej ten udoskonalony „Manifest” się nie ukaże.

Władysław Bieńkowski wniósł kilkanaście drobnych i nielotnych zmian. Wersja ta została wydana ulotnym drukiem, a później wykorzystana przez Biuro Prezydialne KRN i zamieszczona we wstępie do pierwszej edycji protokołu pierwszego posiedzenia Krajowej Rady Narodowej, przygotowanej na trzecie tego wydarzenia, w 1947 roku. Władysław Gomułka miał o to pretensję do Bolesława Bieruta. Wrócił do tej sprawy obszernie w 1975 r. W liście do redakcji „Archiwum Ruchu Robotniczego”. Pomstując na „Bieńkowskiego wersję „Manifestu” zaznaczył jednak rzetelnie, że wsiół tej nigdy nie czytał. A szkoda gdyż przekonałby się, że nie było o co

kopii kruszyć: Władysław Bieńkowski dużo mówił, a niewiele zrobił. Warto jednak zauważyć, że tego typu incydenty, choć zapadły w pamięci Gomułki na długo i mogły budzić gniew nawet po latach, prawie w ogóle nie wpływały na jego stosunek do ludzi. Z Władysławem Bieńkowskim pracował doskonale do 1948 r. i przez kilka lat po 1956 r. Rozeszli się z powodu poważnych różnic politycznych, a nie spór o tekst. Bolesław Bierut, w podobnej sytuacji (też w 1943 r.) domagał się wykluczenia Władysława Bieńkowskiego z partii. Nie stosownie tego żądania zmusiła Pawła Findera do zmiany zakresu odpowiedzialności Bieruta.

Plaszczyzna polityczna i trudności.

W treści „Manifestu” wyróżnić można dwa aspekty. Jeden — to jednoznaczna deklaracja zerwania z rządem londyńskim i jego „krajową ekspozyturą”, która ciężko sprzeniewierzyła się interesom narodu i państwa polskiego. Głównym argumentem za utworzeniem KRN jest sytuacja wojenna, zbliżająca się wyzwolenie i decyzje w sprawie Polski. „W takiej doniosłej i groźnej zarazem chwili naród polski pozbawiony jest kierownictwa, które by zgodnie z wolą mas pokierowało ich walką, które by zgodnie z interesem narodu poprowadziło jego politykę”. W tej sprawie stanowisko „Manifestu” jest radykalne.

O wiele ostrożniej zredagowana została część programowa. W polityce zagranicznej postuluje przyjaźń i współpracę „ze wszystkimi aliantami”, niezwłoczne nawiązanie stosunków z ZSRR i oparcie ich na podstawach przyjaźni i współpracy, a więc wyprowadzenie polityki polskiej ze ślepego załka, w jakim znalazła się po zerwaniu stosunków ZSRR — rząd emigracyjny. Włączenie ziem zgermanizowanych przemocą, a na wschodzie ustalenie granicy „zgodnie z wolą ludności”. Program demokracji politycznej przewidywał powołanie koalicyjnego Rządu Tymczasowego i pięciopartyjnikowe wybory do Zgromadzenia Narodowego. Demokracja gospodarcza miała polegać na wywłaszczeniu bez odszkodowania i oddaniu chłopom oraz robotnikom rolnym ziemi obszarnej oraz na nacjonalizacji wielkiego przemysłu, banków i transportu.

Perspektywy ustrojowe zostały ujęte tak, aby otworzyć możliwość akcesu dla różnych grup społecznych. Rozmowy prowadzone z wielu ugrupowaniami lub ich odłamami, przede wszystkim z RPPS i ruchem ludowym. Rozmowy z RPPS nie dały rezultatów, choć spowodowały odroczenie o kilka tygodni publikacji „Manifestu”. Wspomina o tym Wł. Gomułka:

„Rozmowy, w których z ramienia PPR występował Gomułka, Bierut, Kowalski, Loga-

-Sowiński i Bieńkowski prowadzono zarówno z grupą Osóbki-Morawskiego stojącą na gruncie współpracy z PPR, lecz reprezentującą mniejszość RPPS, jak i z grupą Głowackiego-Mulaka reprezentującą znaczną większość kierownictwa RPPS. Jednak grupa ta ponad współpracę z PPR, której w zasadzie nie odrzuciła, przedkładała swoje nadzieje na porozumienie ze Stronnictwem Ludowym (...). Rezultaty tych rozmów (z RPPS — A.W.) były negatywne, wobec czego „Manifest” ukaż się bez podpisu RPPS”.

Niepowodzeniem zakończyły się również rozmowy z ludowcami.

PPR w pierwszym okresie zdołała pozyskać dla inicjatywy powołania KRN jedynie niewielkie grupy polityczne z innych kierunków. Z RPPS poparała tę inicjatywę grupa Edwarda Osóbki-Morawskiego oraz Stanisław Szwalbe i Stanisław Tołwiński. Ci ostatni zgodzili się na członkostwo w samej KRN, nie wzięli jednak udziału w jej pierwszym posiedzeniu. Byli szeroko znani i bali się dekonspiracji w kontakcie z dwudziestoosobową grupą ludzi. Jednakże odłam Edwarda Osóbki-Morawskiego w tym czasie nie reprezentował większej siły i wymagał codziennego wsparcia organizacyjnego przez PPR. Pismo „Robotnik” redagowane przez ten odłam drukowała i częściowo kolportowała technika PPR. Władysław Gomułka pisał po latach:

„Pragnęliśmy usamodzielić grupę Osóbki-Morawskiego, zbudować dla niej technikę wydawniczą, pod warunkiem wyszukania przez nią odpowiedniego lokalu na drukarnię i znalezienia własnych zecerów. Nic z tego nie wyszło”.

Jeszcze trudniejsze było położenie grupy „Woli Ludu”. Jeśli Edward Osóbka-Morawski reprezentował mniejszośćowy odłam RPPS, z którym związani byli kilka znanych postaci socjalistycznych, to przywódcami „Woli Ludu” w okresie powstawania KRN byli jedynie działacze Niezależnej Partii Chłopskiej, blisko związani z KPP. Sama grupa znajdowała się dopiero w stadium organizacji i co do jej przyszłości w kierownictwie PPR wystąpiły wahania. Władysław Gomułka sądził, że powinna działać we wnętrzu Stronnictwa Ludowego, a nie samodzielnie.

„O sile tej grupy świadczą choćby to, że pismo „Wola Ludu” wychodziło z naszej drukarni, kolportował je w kraju głównie nasz aparat — pisał — a nawet w dużej mierze było przez nas redagowane. Na jego łamach ukazał się również jeden artykuł napisany przeze mnie”.

Sytuacja ta w pół roku później miała ulec istotnej zmianie. Na gruncie KRN stanęła cała RPPS, tworząc podstawę do odrodzenia PPS, a do grupy „Wola Ludu” przyłączyło się wielu działaczy ludowych, wśród nich Stanisław Bańczyk. Ale w końcu 1943 r. sprawy wyglądały niepokojąco. Władysław Gomułka, Nie chciałem, bardzo nie

chciałem, aby KRN była tylko synonimem PPR. KRN była pomyślana całkiem inaczej”.

Mimo to zdecydowanie forsował utworzenie KRN w możliwie najkrótszym czasie. Była to dla niego główna sprawa, w niej widział historyczną szansę polityczną PPR i jednocześnie rację narodową. Nie wszyscy współtowarzysze Władysława Gomułki zajmowali w tej kwestii równie jednoznaczne stanowisko. Paweł FINDER, jak była już o tym mowa, z ostateczną decyzją w sprawie KRN czekał na aprobatę Georgi Dymitrowa. Bolesław Bierut wzbierał się przed przyjęciem funkcji przewodniczącego KRN i został do zgody na to skłoniony przez Gomułkę groźbą formalnego przegłosowania na posiedzeniu KC PPR.

Cały ciężar pracy politycznej, organizacyjnej i redakcyjnej podjęło kierownictwo PPR. Nie było warunków i partnerów do podzielenia tej pracy z kimkolwiek. Przypuszczenia niektórych historyków o istnieniu tzw. Komitetu Organizacyjnego KRN były błędne.

Przygotowano do powołania KRN.

Z ramienia PPR całością prac przygotowywanych kierował Władysław Gomułka. Wykazał przy tym duży talent organizatorski i niespożyty energię. Sprawy techniczno-organizacyjne powierzył Marianowi Spychalskiemu i Kazimierzowi Mijałowowi. Oni wytypowali lokal, zorganizowali system konspiracyjnego powiadomienia i doprowadzenia uczestników pierwszego posiedzenia poprzez odpowiednie podpunkty i łączników. Adresu do ostatniej chwili nie znali nikt poza nimi: Bolesław Bierut dowiedział się o nim dopiero w dniu posiedzenia.

Władysław Gomułka nadzorował całość, ale skupiał się na rozmowach z partnerami i uczestnikami oraz na przygotowaniu dokumentów. Współpracował w tej dziedzinie głównie z Władysławem Bieńkowskim i Bolesławem Bierutem. Sam napisał referat „Walka i samoobrona narodu w związku z terrorem okupanta”, którego odczytanie na posiedzeniu powierzył Kazimierzowi Mijałowowi. Za przepisaniem tekstów na maszynie i ich dostarczenie na miejsce 31 grudnia 1943 r. odpowiedzialni Zenon Kliszko i Ignacy Loga-Sowiński.

Okolo 1 grudnia w lokalu Michała Eklera przy placu Żelaznej Bramy Władysław Gomułka rozmawiał z Michałem Rolą-Zymierskim w sprawie objęcia przezeń stanowiska dołódecy naczelnego Armii Ludowej. Pracował głównie systemem spotkań z poszczególnymi osobami, unikał zwoływania szerszych zebrań. Po latach jeszcze ubolewał nad tym, że nie wszystkie materiały zdołał skontrolować i skorygować. Stąd np. w przemówieniu Michała Rola-Zymierskiego o Armii Ludowej znalazły się sformu-

wania o podporządkowaniu jej wszystkich formacji wojskowych na obczyźnie, łącznie z Armią polską w ZSRR, co Gomułka uważał za postulat nierealny.

Warto zwrócić uwagę na to, że w toku przygotowań do posiedzenia KRN wykazał Gomułka rzadką u polityków — nawet wybitnych — zdolność do współpracy z ludźmi będącymi w dyspozycji lub możliwymi do pozyskania, niezależnie od własnych sympatii i antypatii. Nie działał metodą kumpłowską. Współpracował doskonale zarówno z bliskim mu „Markiem” — Marianem Spychalskim czy „Ignasiem” — Ignacym Loga-Sowińskim, jak z — „Tomaszem” Bolesławem Bierutem, którego nie lubił, czy z Władysławem Bieńkowskim, z którym tak niedawno ostro się pokłócił.

Posiedzenie inauguracyjne KRN w noc sylwestrową 1943 r. było jego dziełem, ale sam w nim udziału nie wzięł. Na jego wniosek KC PPR postanowił, że w skład KRN wejdą z centralnego aktyw partii: Władysław Gomułka, Bolesław Bierut, Franciszek Jóźwiak, Ignacy Loga-Sowiński, Marian Spychalski, Zenon Kliszko, Kazimierz Mijał, Stefan Żółkiewski i inni, ale Gomułka, Jóźwiak, Loga-Sowiński i Kliszko uczestniczyć w posiedzeniu nie będą. Nie można bowiem było wystawiać na ryzyko jednocześnie całego kierownictwa partii i GL. Stąd Władysław Gomułka żywił dużą urazę do wydawców pierwszej powojennej edycji protokołu i posiedzenia KRN z 1947 r., którzy w przedmowie sprawę obecności ujęli tak niejasno, że skłoniło to późniejszą historię do przyjęcia tezy, że nieobecność Gomułki i kilku innych działaczy PPR była spowodowana jakimś bliżej nie znanym, być może osobistym przyczyną. Podejrzewał, że miało to na celu rzucenie nań nieuczciwych posądzeń.

Powołanie KRN otworzyło nowy etap działań politycznych, mających na celu jej umocnienie i obronę. Kierownictwo PPR stanęło w obliczu trzech różnych problemów. Oboz londyński zareagował na KRN spiesznym powołaniem Rady Jedności Narodowej i nasiloną propagandą antykomunistyczną. Ze strony polskiej emigracji komunistycznej i agentów kierowanych przez Georgi Dymitrowa pojawiały się zarzuty sekciarstwa. Nadal stała na porządku dnia sprawa wąskiej bazy KRN.

(Kolejny trzeci fragment książki A. Werblana ukaże się za dwa tygodnie)

wie na przestrzeni kilkuset metrów kwadratowych. Wszystko zgadza się znakomicie dopiero przy założeniu obserwacji z powietrza, wszystko, poza jednym drobniakiem: jak kilkaset lat temu, albo i dawniej, cokolwiek mogło być z powietrza obserwowane? Kolo się zamyka.

Chociaż niezupełnie: w Peru znalazł się człowiek, który potrafił zrobić z Kandelabra Andów poszukiwany kandelabr całej ludzkości. A w każdym razie nie ustaje w wysiłkach, aby to osiągnąć.

Gdyby pojechać w kierunku, który wskazuje Kandelabr Andów,

po przemierzeniu wyjątkowo jednostajnego i niezbyt wyniosłego płaskowyżu, dotarł się w końcu do miasta Ica. Na tie

Początki, jak zwykle, wyglądały skromnie: „Były pierwsze dni maja 1966 roku. Felix Liosa Romero, mój przyjaciel jeszcze z lat dziecińczych, przetrząsnął Broni miasta Ica i wszedł do domu, w którym znajdował się mój gabinet lekarski. W prawej ręce trzymał niewielki kamień.

— Przyłóżcie go do siebie — oświadczył. — Jest piękny i będzie bardzo dobrze wyglądał jako przycisk do papieru na twoim biurku.

Wziąłem kamień do ręki i zdziwił mnie jego duży ciężar. Był to kamień owalny, koloru ciemnego, a na jego powierzchni wyrzyta figura nieznanego rybu. Wydał mi się dziwny.

Wkrótce jednak wydarzenia zaczęły iść szybko naprzód. Dzięki — jak sam wyznał — swojej wiedzy biologicznej, na kolejnych kamieniach, które trafiły do jego rąk, Cabrera różnił znane od dawna paleontologii, wymarłe przed miliona-

wersytem Technicznego w Limie i wreszcie na Uniwersytecie w Bonn. Wyniki nie były rewelacyjne; pośrednio tylko potwierdzały bliżej nie określone starożytność kamieni i wyrzytych na nich linii, szczególnie wobec obecności pokrywającej je warstwy tlenków.

Świat naukowy pozostał obojętny,

Cabrera zaś, częściowo przy najmniej podniecony na duchu, wystąpił przeciw niemu z gwałtowną kampanią zarzucając uczonemu niezrozumiały, a nawet zbrodniczy indyferentyzm. Nie zaniedbywał też bezlitosnego wykorzystywania chaosu panującego w samej nauce, zwłaszcza w paleontologii i dziedzinach jej pokrewnych; brak rozwiązania kapitalnego problemu bezpośredniego poprzednika człowieka, gdy okazało się, że istniejące aktualnie mały czelkowskie nie na-

cyfrować część świadectw i temu właśnie zawdzięcza swoje największe, powszechnie znane, osiągnięcia. Naturalnie mowa tu tylko o ścisłej oligarchii, utrzymującej źródło swojej potęgi w absolutnej tajemnicy przed prostym ludem; kiedy Manco Capac kazał wykopać wielki, tworzący do dziś odgałęzienie rzeki Ica, kanał, aby zapobiec częstym powodziom w strefie Ocucay i uchronić od zniszczenia znajdujące się tam zapisane kamienie, korzystając z faktu, że kanał nawodnił przy okazji ziemie jednego z miejscowych kacyków, rozpisał wśród okolicznego narodu, ciągle zresztą opowiadana, legendę o swojej gorącej miłości do jego córki, pięknej Achiramy. Jako motyw tego ogromnego przedsięwzięcia.

Chociaż to, co odczytali z kamieni Inkwie zapewniło im tak znaczną potęgę, stanowiło jedynie nieskonkretny mały ułamek całości. I nie mogło być inaczej. Jak bowiem pięćset lat temu miały się komuś pomieścić w głowie swobodne transplantacje ludzkich organów, z półkulami mózgowymi włącznie? Jak można było wówczas pojąć, że poza samą techniką operacyjną, kwestią przy takich zabiegach decydującą jest rozwiązanie problemu odrzucenia przeszczepu? I właśnie w tym celu przedstawia się na kamieniach transfuzje krwi ciężarnej kobiety, a w wypadku transplantacji półkul, proponuje wstępny przeszczep nerwów i gruczołów nadnerczy.

Dopiero współczesny lekarz mógł jako tako zrozumieć to wszystko, tylko on mógł także dostrzec, że lancet był zastąpiony elektrolizem, zaś do znieczulenia stosowano akupunkturę albo specjalny gaz. Naturę tego gazu — wyznaje skromnie doktor Cabrera — jest mi na razie nie znana.

Mimo jednak tych, wprost niewyobrażalnych, osiągnięć, cywilizacja stworzona przez kosmitów podzieliła los innych wielkich kultur. Stało się to — jak relacjonują kamienie —

na skutek ogromnego wzrostu zanieczyszczenia ziemskiej atmosfery,

co uniemożliwiało wypromieniowywanie ciągle dostarczanej przez słońce energii cieplnej i w rezultacie doprowadziło do katastrofalnego wzrostu temperatury niszczącego wszelkie życie. W dalszej zaś konsekwencji do serii kataklizmów, w wyniku których ukształtował się, między innymi, obecny rozkład mórz i kontynentów. Przy tej okazji kamienie prostują rozpowszechnioną opinię o zatonięciu Atlantyd, Lemurii i Mu. Nic takiego się nie zdarzyło, lądy te uległy jedynie rozczłonkowaniu i przesunięciu. Gdyby to kogoś interesowało istnienie w tej materii całkiem precyzyjne dane: Atlantyda na przykład uformowała dzisiejszą Europę i północną Afrykę oraz wyspy atlantyckie, Lemuria archipelag malezyjski i wyspę Madagaskar, Mu zaś znaczną część Azji i wyspy Pacyfiku.

Tylko że kosmici już na to nie czekali. Widząc co się święci posłużyli się jako wehikuł kometa Kohoutka i powrócili na swoją macierzystą planetę w gwiazdozbiór Plejad (zajmującym przesłtą szczególne miejsce w mitologii ludów andyjskich).

A wszystko to, jak obliczył doktor Janiero Cabrera na podstawie różnicy między kalendarzem ówczesnym (też, oczywiście, wyobrażonym na kamieniach) a współczesnym i przy zastosowaniu, w charakterze pomocy rachunkowej, stwierdzonego i wyliczonego przez astronomię sukcesywnego wydłużania czasu, jaki zużywa Ziemia na obieg dookoła Słońca, wszystko to więc działo się dokładnie 1 073 400 000 lat temu. Ani mniej, ani więcej. Z dotychczas opowiedzianych przez człowieka baśni żadna jeszcze nie rozgrywała się tak dawno...

Bo przecież, nawet gdyby te rewelacje były prawdziwe, w gruncie rzeczy mamy do czynienia z baśnią. Oto bardzo, bardzo dawno temu, pokonując odległość, na której przebycie światło potrzebowałoby 600 milionów lat, przybywają na Ziemię goście z nieba. Są potężni i uczą ludzi różnych wspaniałych rzeczy. Zostawiają im jednak całkowitą wolność; nawet wtedy, kiedy widzą, że ich uczniowie zmierzają do katastrofy. Nie mogą jej zapobiec na drodze łagodnej perwazji odtłatają za smutkiem na swoją gwiazdę pozostawiając przesłanie dla przyszłych pokoleń.

Kiedy opowieść Javiera Cabrery oczyszcza się z ogromnej ilości paranaukowych spekulacji i sprowadzi do sedna, można w całej okazałości zobaczyć jak bardzo jest podobna do wszystkich mitów religijnych rozpościerających się jak Ziemia długa i szeroka. Ma ona nawet swój, niezbędny w takich wypadkach, dalszy ciąg: nie sformułowaną wyraźnie, ale dopuszczalną nadzieję, że bogowie wrócą. Może no to, aby ukarać człowieka, który znów zatrąwa atmosferę i oddala się od swojego zasadniczego celu w stronę zgubnego zaspokajania chwilowych namiętności, a może aby, w swojej niezłębionej mądrości, zawrócić go z drogi prowadzącej niechybnie do przepaści. Byłby na to już najwyższy czas i pewnie dlatego na niebie pojawia się coraz więcej Niezidentyfikowanych Obiektów Latających.

Gdyby któryś z nich dał się wreszcie raz, ale w pełni i bez żadnych wątpliwości, zidentyfikować, powinno to mieć miejsce na słynnym płaskowyżu Nazca. Tam bowiem, według doktora Cabrery, który powołuje się tym razem na prawdopodobnie istniejące w tym rejonie wielkie złoża rud żelaza i związane z nimi specjalne efekty magnetyczne, nie mówiąc już o korzystnym ukształtowaniu terenu, byłoby to najbardziej naturalne, mało tego: tam właśnie 1 073 400 000 lat temu takie rzeczy rozgrywały się niemal codziennie.

Płaskowyż Nazca to także następny punkt na trasie wskazywanej przez Kandelabr Andów...

Należy jednak wątpić, czy coś takiego nastąpi; w każdym razie dopóki na straży słynnych rysunków z Nazca stoi doktor Maria Reiche. W ciągu 41 lat swojego pobytu tutaj z młodej kobiety zmieniła się w prawie niewidzącą i niesłyszącą staruszkę. Jeśli idzie jednak o wyjaśnienie tajemnic największego rzeźbionego kamienia na świecie, nie zrobiła właściwie ani jednego kroku.

Owsem, ustaliła kilka modułów, które można uznać za formalną zasadę konstrukcyjną większych całości: jeden z nich to „el chigote”, czyli duża geometryczna płaszczyzna — trójkątna bądź trapezoidalna — z której wąskiego końca wychodzi linia — wracająca i krążąca — w kierunku boku przeciwnego, drugi składa się z szerepu różnych linii, biegnących jedne obok drugich, i połączonych na końcach w sposób przypominający wykres oscylografu. Ustaliła także prawdopodobną jednostkę miary używaną do kreślenia rysunków i wynoszącą 1,1 metra...

Cała reszta to już tylko przypuszczenia; że linie mogą mieć coś wspólnego z astronomią, gdyż 21 grudnia, w cza-

sie przesłania wiosennego, słońce zachodzi niemal dokładnie nad dwiema z nich, że inne wskazują chyba jakieś gwiazdy, że z tych względów nie można wykluczyć ich związku z religią, rytuałem, ale także rolnictwem... Pewna jest tylko jedno: w dalszym ciągu potrzeba nieograniczonego czasu i nieograniczonej cierpliwości. I trzeba pilnować, aby linie nie zostały zatarte przez coraz częściej wjeżdżające na płaskowyż — mimo surowego zakazu — samochody, i żeby nie zniszczyły ich zmieniający się klimat...

Maria Reiche codziennie o godzinie 18.00 powtarza to na spotkaniach w „Hotelu Turystycznym”, gdzie rząd peruwiański opłaca jej ciasny pokój i skromne wyżywienie. I w jej ustach nie ma to nic wspólnego z banałem! Coraz rzadziej może wybrać się na spacer na pokrytym dachem z lodu i liści palmi mercado, które po południu słońce, linując stragany z cebulą i pomarańczami, zmienia w zeszyt szkolny przyszłego wybitnego kolorysty. Nie ma już nawet siły na codzienne wycieczki do swoich rysunków... Ale nie ulega pokusie awansowania znajdującego się w centrum płaskowyżu wizerunku małego do rangi głównego operatora wieży kontrolnej.

Jest uosobieniem godności nauki, bowiem jak pisał W.J.H. Kunkel-Goldfinger:

„Nauka nie powie Wam, jaki jest sens i cel ludzkiego życia. Powie Wam jednak, że szukanie tego sensu i celu jest taką samą właściwością człowieka, jak szukanie pokarmu i partnera. Szukajmy więc! I cel, i sens znajdziemy tylko u siebie i tylko dla siebie, albo nie znajdziemy ich w ogóle”.

Tak, ile to już razy, startując z różnych punktów i rozpędzając wielkie nadzieje, trzeba było doleść do tego właśnie wizerunku kandelabra. I jak trudno było go utrzymać, oprać się kolejnym pokusom ostatecznych rozwiązań.

W Peru jest pod tym względem łatwiej; nawet gdy tajemnice płaskowyżu Nazca zostaną kiedyś wyjaśnione — podobnie, bądź inaczej niż sekrety kamieni z Ica — można będzie zawsze ruszyć dalej trasą wskazywaną przez Kandelabr Andów — nad jezioro Titicaca...

RYSZARD NAKONIECZNY



Dwoje doktorów w poszukiwaniu kandelabra

wielu innych miast peruwiańskich Ica robi wrażenie niemal europejskie, poza tym jest wyjątkowo zadana. Ale też i na tym koniec; można by się sobie bez trudu wyobrazić we Francji, a nawet w Polsce. Krótko mówiąc: wszędzie. Gdyby nie kilka małych pomieszczeń na Plaza de Armas. Ich zawartość jest pozornie mocno jednostajna: około jedenaście tysięcy rozmaitej wielkości kamieni, na których wyrzyto całe płataniny linii układających się czasami — jak to płataniny linii — w konfiguracje przypominające rozmaite przedmioty, sytuacje, a nawet wizerunki człowieka. Rodzaj testu Rorschacha.

Jak wiadomo test ten sam w sobie nie nie znaczy, ujawnia natomiast rozmaite aspekty osobowości badanego. W przypadku doktora Javiera Cabrery Darquea były to aspekty doprawdy niezwykłe. Posłużyły mu one nie tylko do wyjaśnienia tajemnicy Kandelabra Andów, ale zaprowadziły na odległość, których nikt jeszcze dotąd nie przemierzył, a jeżeli nawet, to nie ośmielił się mówić o tym głośno.

mi lat, zwierzęta. Nie to jednak szczególnie przykuło jego uwagę, ale fakt, że zwierzęta te sąsiadowały z wyobrażeniami ludzi, a na niektórych kamieniach człowiek nawet na nie polował. Wniosek, chociaż przesunął początek cywilizacji gatunku homo sapiens o wiele milionów, a nawet — jak się później okazało — grubo ponad miliard lat do tyłu, nasuwał się nieodparcie. I Cabrera go wyciągnął.

Jak należało się spodziewać sprawa nie wyszła jednak poza granice gazetowych sensacji. Prawdopodobnie wielu i to by wystarczyło, doktor z Ica w każdym razie do nich nie należał; podjął, trwając do dziś, walkę o nadanie swojemu odkryciu rangi wydarzenia naukowego. I to superklasę.

Kluczowym zarzutem, jaki musiał odeprzeć, było powszechne posądzenie o totalną mistyfikację, a nawet pospolite fałszerstwo. Kamienie powędrowały więc do ekspertyzy, najpierw w laboratorium kompanii górniczej należącej do przyjaciela Cabrery, Mauricio Hochschilda, następnie na Wydział Górniczy Narodowego Uni-

daja się do pełnienia tej roli, a przede wszystkim brak ostentacyjnego rozstrzygnięcia kwestii pojawienia się życia na Ziemi w ogóle; spektakularne doświadczenia Manfreda Eigena udowodniły bowiem jedynie prawdopodobieństwo samorzutnego tworzenia się łańcuchów złożonych z 30—100 nukleotydów, tak, że na narodzie w Buzakani, w 1971 roku, laureat Nagrody Nobla i współautor złamania kodu budowy kwasu DNA Francis Crick, odrzucając starą hipotezę Arheniusa utrzymującą, że zarodek życia przybył na Ziemię z kosmosu, mógł oświadczyć wręcz, że zostały one dostarczone w specjalnych pojazdach chroniących je przed zabójczym promieniowaniem...

Woda na myślny Cabrery lała się więc obficie, a zasłona niektórymi nowymi wówczas odkryciami, głównie Florentino Ameghino, Richarda Macneisha, Henao Marino i słynnej rodziny archeologicznej Leakey, powoli zaczynała przypominać słuszną wielkość rzeki. Kto wie, może w końcu teorię chirurga z Ica zaczęło by traktować poważniej, w miarę analizy dalszych kamieni zaczęła się ona jednak niepokojąco rozrastać, i to w kierunku nie mającym z nauką nic wspólnego.

Otóż bowiem okazało się, że znanego paleontologii notarchutusa (mającego stanowić poszukiwane brakujące ogniwo na drodze między zwierzętami i człowiekiem) do poziomu humanoida doprowadził nie kto inny, tylko właśnie przybysz z kosmosu. Oni też, za pomocą kolejnych modyfikacji kodu genetycznego, uzyskali jego następne wcielenia, aż do pulapu znacznie przewyższającego cywilizację człowieka współczesnego. Technika tych zabiegów została — oczywiście — wyraźnie zaprezentowana na kamieniach, ideologia zaś na najbardziej chyba opatrzonej tkaninie z Paracas.

Kosmici bowiem powierzyli przekazanie świadectwa swoich działań i osiągnięć wielu przedmiotom, a ich rozpoznanie nie powinno właściwie sprawiać żadnych trudności, nawet gdy znajdowane są w grobach kultur daleko późniejszych. Cóż bowiem, poza tym, że spoczywają obok tych samych mumii, mogą mieć ze sobą wspólne słynne tkaniny z Paracas i niektóre egzemplarze doskonałej ceramiki Nazca z różnymi kolcami zaadaptowanymi do pełnienia roli igieł, niezdernymi ostrzami z obsydianu czy prymitywnymi naszywkami z odłamków kości? Jak mogli stworzyć je ci sami ludzie?

Bez wątpienia odziedziczyli je tylko i, nie mogąc pojąć, a widząc, że są dziełem istot stojących nieskończenie wyżej, przyznali im status boski i kładli go grobów jako amulety.

Dotyczy to także cywilizacji inkaskiej, tyle tylko, że była ona pierwsza, która doświadczała od-



nowe organizowane przez biura podróży. A poza tym już w początkach stulecia Brytyjczycy zakładali kluby narciarskie w... Szwajcarii, Austrii czy Francji. Jednak bardzo długo nie mieliśmy żadnych osiągnięć w tej dziedzinie sportu. Chyba od czasów Konrada Bartelskiego, który wprowadził urodzony w Amsterdamie, a do tego w 80 procentach Polak, reprezentował z dobrym skutkiem barwy Wielkiej Brytanii, nie mieliśmy znaczących sukcesów.

— Wybacz, ale 17 pozycja. To trochę brzydki jak sztyt natchniona reklama.

— To prawda, że jestem dopiero 17 na liście FIS, ale miałem kilka bezwzględnie sukcesów w biegach zjazdowych salicylanowych do punktu Pucharu Świata. Wcisnąłem się do pierwszej piątki.

— Mistrzostwa Świata w Crans Montana to była kłopot.

— Nerwy mnie śjadły i może nie obliczyłem swojej formy. No, ale za to Leslie Beck była rewelacją, zajmując 10 miejsce w slalomie specjalnym.

się schodom nieco podejrzliwie i a niepokojem nasłuchując skrzypu zębatego pasa. Nie ma się co dziwić. Po ostatniej kręceniu na stacji metra Kings Cross, gdzie w wyniku zapadnięcia się ruchomych schodów zginęło w płomieniach bądź udusiło się trzydzieści osób.

Na piętrze blok ściek i potworny upał. Zaraz przy wejściu ogromne stołki włóskich butów „Nordica” — najpopularniejszych na Wyspach Brytyjskich. Można wypisać na specjalny formularz dane dotyczące wagi, wzrostu, wieku i umiejętności narciarskich, a komputer wybierze odpowiedni model buta „Nordica”.

Dotychczas jazda na nartach była praktycznie niedostępna dla ludzi niepełnosprawnych. Hart ducha i ogromny, wprost nadludzki wysiłek sady kłam dotychczasowym poglądom. Na ogromnym ekranie możemy podziwiać nie tylko upadki Francisa Webersa przy szybkości ponad 200 km na godzinę, ale także rekord świata francuskiego narciarza z amputowaną kończyną. Na jednej nartce, podpierając się kijkami opartymi na małych płozach osiągnął szybkość ponad 170

Pośrodku ogromnej hali wystawowej umieszczono sztuczny stok narciarski. Górna jego część jest nieruchoma i od dolnej będącej formą ogromnego pasa transmisyjnego oddziela ją kilkumetrowej wysokości próg. Mocna, oguszająca rytm muzyki rockowej. Błyski światła i bajecznie kolorowe stroje narciarskie występujących. Zaczęli się show. Najpierw długowłosa miss, w ciemno opiętym kostiumie, wysoko wyciętym na biodrach i chłopak w stroju jakby żywcem saczerpniętym z filmów science-fiction, prezentują balet narciarski. Poza układami figur wykonywanymi na śniegu pokazują także układy, w których znakomicie wykorzystują zmienną pracę pasa transmisyjnego stołu, który to zjeżdża to podjeżdża, a dodatkowo obraca się w płaszczyźnie poziomej. Gdy para tęgną komentarzami spikera i mdłymi oklaskami widowni ankieta, wyjechali na scenę specjaliści od salta, helikoptery i innych figur, jakie można wykonywać w powietrzu. To już jest prawdziwy cyrk narciarski. Na sztuczny stok i pod kopułą sali, smuszeni do zadzierania głowy,

gdzie przez kilka lat produkował ze zmiennym szczęściem średniej klasy narty. W ostatnich latach dał się poznać jako autor „Vielhaber Fusion” niezwykle drogich nart inkrustowanych siedmiokaratowym złotem. Jednak poważne przesłanki podatkowe, jakich dopuścił się na Wyspach, zmusiły go do przeniesienia się do Norwegii, gdzie powstała najnowsza narta „Vielhaber Black Fusion” kosztująca około 520 funtów.

Stoiska ze sprzętem narciarskim przebiegają się w pomysłowości wystawionego sprzętu. Nad Volkiem wznosi się czterometrowej długości narta pomalowana w charakterystyczne pręgi modelu „Rennigera”, który przyniósł firmie ze Strabing światową sławę. Firmy oferujące buty narciarskie natychmiast na miejscu dokonują wtrysku pianki do butów wewnętrznych albo dokonują niezbędnych zabiegów mających na celu przystosowanie buta do nietypowej stopy. Na miejscu przykłada się wiązania narciarskie w tempie tak zawrotnym, że klient nie ma czasu, aby dokończyć ulubiony kufel piwa. Albowiem stoiska poprzetykane są gęsto minipubami oferującymi drinki i jedzenie. A między francuskimi a rumuńskimi biurami podróży usadowiło się stanowisko „Canadian Club” oferujące podwójną whisky po cenie dużo niższej niż w pubach. Jugosłowianie częstują swoich gości kieliszkiem Rieslingu, a Bułgari pokazują filmy z Borovca i Pamporova. Nie brakuje biur podróży z Andorry, Hiszpanii, Włoch, no i oczywiście lawina austriacko-francuskiej łączności z bogatą reklamą Francuskiej Szkoły Narciarskiej. Między tłumem zwiedzających, uwija się balwan i zachęca do odwiedzenia Les Alpes Savoie Mont Blanc.

Stoisko Brytyjskiego Klubu Narciarskiego prezentuje kilkudziesięcioletnią historię podboju Alp przez Brytyjczyków. Oprócz tego oczywiście portrety wszystkich aktualnych championów nie wykluczając i Mistrza Wielkiej Brytanii na sztuczny stok. W jeździe po trawie na gąsienicach Mimo że składka członkowska jest minimalna Klub jest instytucją dość ekskluzywną, i co mnie dziwiło, gdy miałem okazję brać udział w jednym z wieczorów prezerw organizowanych, nie cierpi na nadmiar młodych ludzi. Średnia wieku członków Klubu wydaje się być grubo po pięćdziesiątce, chociaż w Anglii bardzo dużo młodych ludzi jeździ na nartach.

Narty z... silnikiem odrzutowym.

Osobny rozdział stanowią różnego rodzaju monoski, deski surfingowe do jazdy po puchu „Burtona” czy „Hooger Booger”. Można połączyć także windsurfing z narciarstwem i ślizgać się po śniegu na desce z żaglem.

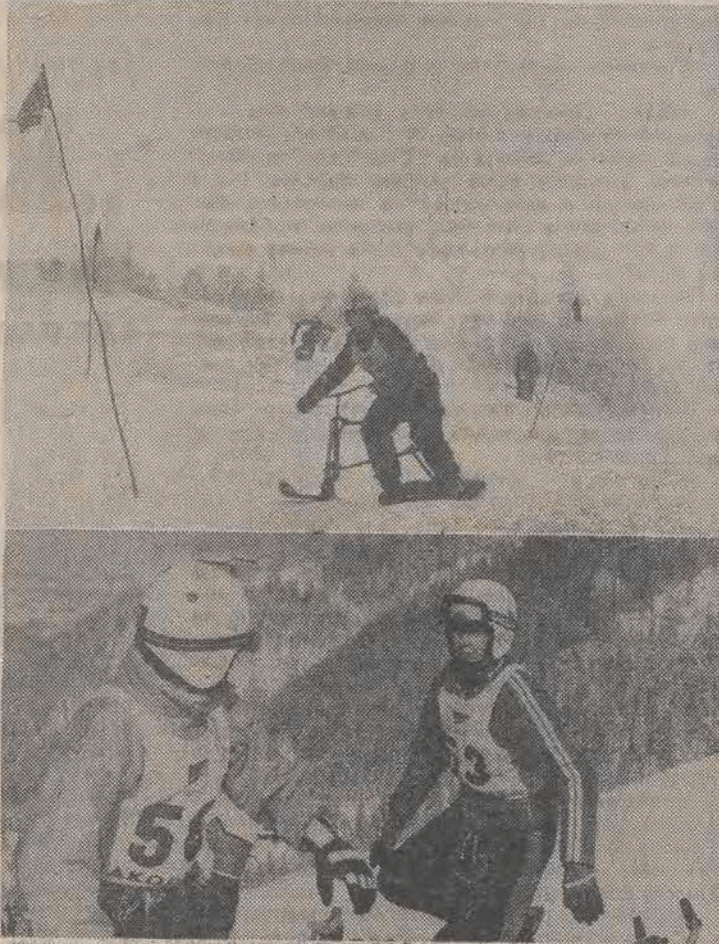
Ukoronowaniem podzigu szkieletu z szybkością jest sprzęt kosztujący około 15.000 funtów. Można za tę cenę kupić narty „Dynastar”, specjalne buty „Lange” lub „Nordica”, specjalny kask o długim, metalowym czubie mającym chronić podstawę czaszki narciarza, zamiast kijów narciarskich rodzaj aerodynamicznej osłony jaką używają motocykliści na wysiłkach. Najważniejszym elementem jednak jest silnik odrzutowy umieszczony za butami zawieszony. Dzięki niemu można rozwijać szybkość do 270 km na godzinę bez możliwości ubezpieczenia się od niebezpiecznych wypadków. Żadna firma ubezpieczeniowa nie chce podjąć się tego ryzyka.

Ze zdziwieniem natykałem się na stoiska wystawiające najróżniejszy sprzęt do masażu, a także coś w rodzaju „masażu na szczury — igły i powidła”. Właśnie na jednym z takich stoisk, tuż obok faceta zachwalającego zalety kawałka brezentu, który można jako leżak rozwinąć na dwóch poprzecznie umocowanych kijach narciarskich, zachęcono mnie uprzejmym gestem, abym się zbliżył, po czym błyskawicznie zdjęto mi z nosa okulary i zaturując je w jakiejś lepkiej maści koloru spalonej cegły próbowałem mnie przekonać, że tylko ten wywar z eukaliptusa i specjalnych, tajemniczych substancji, dzięki regularnemu, codziennemu wolecaniu zapewni niebywałą przejrzystość i nieparowanie szkieł.

MAREK BRZEZIŃSKI

Wreszcie i u nas spadł śnieg!

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Technika przywraca radość życia

— Jednak nie reklamuję się jej tak jak ciebie?

— Po prostu „moje” biegi zjazdowe były na początku i w połowie sezonu, a Crans Montana już w jego końcu. Nie było czasu na rozreklamowanie Leslie. Ale poszukajmy i zobaczmy wazycy jak Leslie będzie się przedzierała przez gęste sito czołowi slalomowej na świecie.

— Inny Anglik, Graham Wilkie pobili rekord świata w jeździe na nartach. To była sensacja. A przecież o tobie pisze się jako o najszybszym Brytyjczyku na nartach?

— Graham ustanowił rekord świata (który zresztą wkrótce po tej rozmowie został Wilkiemu odebrany przez mało znanego francuskiego narciarza w Monaco) w konkurencji, która się nazywa „kilometro lancia-to” — latający kilometr. Jest to dwukilometrowy rozbieg, w czasie którego narciarz w specjalnie do tego typu wyścigu przystosowanym sprzęcie, nabiera szybkości po to, aby na odcinku jednego kilometra uzyskać rekordową prędkość przekraczającą obecnie 210 km na godzinę. Natomiast ja biorę udział w swych zjazdowych biegach zjazdowych organizowanych w ramach Pucharu Świata, na których prędkość rzadko przekracza 120 km na godzinę. I dlatego pisze się o mnie jako o najszybszym narciarzu Wielkiej Brytanii. W kontekście biegu zjazdowego, a nie rekordu szybkości.

— Podobno twoi rodzice ponosili poważne koszty w związku z twoimi treningami. A do tego przecież ściga się także twój brat.

— Tak to prawda. Dzięki rodzinie mogłymi się wybrać. To były duże wydatki, ale od czasu, gdy awansowałem do czołówek światowej i mam moich sponsorów skończyły się moje i brata kłopoty.

— Będziesz kiedyś próbował startu w „latającym kilometrze”?

— O, to daleka przyszłość. Na razie jestem młody i mam przed sobą starty w Pucharze Świata.

— Starty wśród zawodowców w USA?

— To też odległa przyszłość. Odnosisz sukcesy w biegu zjazdowym, a nie możesz jakoś się przebić w slalomie?

— Mam za wolny start. Wiesz, ta nasza angielska flaga.

Milęd Anglików do narciarstwa wznaga się z nadejściem Bożego Narodzenia. Początkiem lawiny zakupów, reklam, rezerwacji miejsc w biurach podróży jest organizowany corocznie w połowie listopada „Ski Show”. Ogromna bryła Earla Court Exhibition może pomieścić co najmniej cztery wystawy jednocześnie i jeszcze na dodatek koncert Davida Bowie.

Stok pod kopułą.

Wjeżdżam na górę, główne piętro ekspozycji ruchomymi schodami. Ludzie przyglądają

km na godzinę. Następne ujęcie pokazuje Franca Webersa w otoczeniu dwóch innych narciarzy. Jeden z nich to niewidomy Mike May, drugi to jego przewodnik Ron Salviolo.

— Slalom specjalny to nie jest trudna konkurencja — mówi Mike May — Ron jeździ przede mną i wykrzykuje komendy, ja staram się nie omijać bramek. W zjeździe jest dużo gorzej, bo przy 80 km na godz. świs wiatru jest tak duży, że nie słychać okrzyków Rona.

— Dlatego samontowaliś radio w hełmach zjazdowych. Możemy teraz swobodnie rozmawiać — dorzucza Ron Salviolo.

— Starał się o udział w „Kilometro Lanciato” w Les Aor, ale kompanie ubezpieczeniowe nie chciały się na to zgodzić. Właśc. nasz wynik można uznać za nieoficjalny rekord świata niewidomych.

Mike May, a chyba mogę napisać, że i Ron Salviolo, osiągnęli prędkość 97,2 km na godzinę.

— Naszym celem jest przekroczenie bariery 100 km na godzinę — mówi May, a młodzi dotychczas Franca Weber wtrąca.

— Oni mogą dojechać nawet do 180 kilometrów na godzinę.

Podziwiać, wybierać, kupować.

Następne ujęcie i oto w specjalnych sankach ustawionych na dwóch nartach, ba wpiętych w klasyczne wiązania narciarskie „Salomon Equipe 747”, w kapsule dokładnie chroniącej korpus pozbawiony obydwu nóg, siedzi człowiek i zjeżdża z góry. Ściga się w slalomie i hop zaczepiwszy się na linie, jak na słynnej wyrwającej na oślej łączce na Kalatówki, wjeżdża pod górę. Firmy narciarskie nie tylko prześcigają się w wymyślaniu coraz to nowszych wiązań, nart i butów: „Nordica”, „Lange”, „Dolomite” z baterią ogrzewającą but. „Nava” — gdzie zastosowano plastyczny wspornik przekazujący nartę impulsy biegające z tyłki i na stawu skokowego — czyli próba jazdy na nartach bez tradycyjnego buta narciarskiego. „Magnesium Light” — z wiązaniem „Salomon E 747”. Buty „Dynafit Royal” w których zastosowano wibracyjną podszewkę, co umożliwia swobodne poruszanie się w nich jak w normalnym obuwiu.

Wreszcie narty. Na przykład narty „Fischera” produkowane w systemie „Vacuum”: tworzywo sztuczne wtryskiwane jest w skorupę metalową w komorze próżniowej. Specjalnego rodzaju trapezoidalne krawędzie mają narty „Heads”, czy tak zwane „otwarte czuby” popularnego modelu X22, X11 i X33 „Rossignola”, ale także te wszystkie firmy starają się otworzyć świat narciarstwa alpejskiego tym wszystkim, dla których był on dotychczas niedostępny ze względu na ich kalectwo.

przyglądamy się narciarskim skrobaczom. Wreszcie narciarze-instruktorzy z francuskiej szkoły narciarskiej demonstrują różnego rodzaju skrobki na jednej i na dwóch nartach. Thum przygląda się z zaciekawieniem, ale też i z pewną obojętnością. Dopiero gdy jeden z czwórki zjeżdżających na lew na szyję narciarz zatrzymuje się, gwałtownie hamując tuż tuż o milimetry od kilkumetrowego uskoku tłum widzący ożywia się nieco. Narciarz jednak nie zwraca uwagi ani na tłum, ani na stromy próg i jakby nigdy nie chwytając linę i na mikrowyciągu wjeżdża na ukryty za ciężką kotarą szczyt stołu.

Konkurencja jest ostra. „Dynastar” prezentuje kolekcję kilkunastu modeli nart i zdjęcie Grahama Wilkiego, do niedawna rekordzisty świata. Ale tu obok stoiska „Dynastar”. Kilkanaście par nart przymocowanych do ścian i zdjęcie Michała Pruffera, 217,68 km na godzinę. Rekord został pobity w Portillo w Chile 2 października 1987 roku.

— „Dynastar” miał rekord, „Dynamica” ma go teraz, a my będziemy mieli — mówi pan reprezentujący Aloisa Rohmose i jego firmę „Atomic” i pokazuje mi długie, o spłaszczonych czubach narty, które mają umożliwić człowiekowi pokonanie kolejnych, magicznych barier szybkości.

Narty też można modernizować.

Obok najnowszych modeli „Dynamica” prezentowane są narty, w których niedługo legendarny Jean-Claude Killy zdobywał laury olimpijskie. Inny znany narciarz Frans Klammer zaproponował w tym sezonie narty zwanymi swoim nazwiskiem stroje narciarskie, podobnie zresztą jak niezwykle drogą i dobre jakościowo kurtki narciarskie „Killy” oraz nowe narty które nazywała się ni mniej ni więcej jak „Klammer”. Także słynna para Neureuther-Mittermeier próbuje przebić się na rynek angielski i światowy z produkowanymi pod Stuttgartem „Erbachera” i „Oprócz tradycyjnych grup nart: wycieczkowych, sportowych i rekreacyjnych, pojawiły się niezwykle drogie narty zwane „lekarak-prawniczymi”, jako że tylko bardzo bogaci ludzie mogą sobie pozwolić na ich kupno. Zdecydowanie najdroższe, w granicach 680 funtów są narty „Yamaha EX 3000”. Można podziwiać stalowotęczowe „Dynastar Legend” dla panów i „Dynastar Emotion” dla pań — w cenie 360 funtów. „Narty, które są marzeniem każdego narciarza” — głosi hasło reklamowe. Wśród tych najdroższych volki „Cemini II” 400 funtów, czy „Lacroix Espace Kevlar Carbon” (600 funtów) nie zauważyłem nart „Vielhabera”. Syn znanego narciarza i producenta nart, przeniósł się do Szkocji,

Michael Telling przebudził się zamyślony. Opadły go na gorsze przeczucia. Czy aby w podnieceniu czegoś wczoraj nie przeoczył? Zerwał się na równe nogi nie tracąc sekundy, przeszukał drobiazgowo buduar żony.

W szufladzie szafki spoczywał odreczyn noty, oprawiony w miękka skórę. Ach tak, numery telefoniczne i adresy przyjaciół. Moniki... Kate, Rosse-Mary, Lilian, Beryl...

Znał je wszystkie. Czemuż nie przedzwonił pod wieczór chociażby do Lilian, żeby się nieco odprężyć. Jest przecież i podobno rozwodzi się z mężem.

— No dobrze, przynajmniej, skoro ci nie tak przykro — usłyszał w słuchawce figlarny chichot.

Potem, już w „Lambourne-House”, Lilian zapłatała.

— Ona naprawdę wyjechała? — Obawiam się, że na zawsze, pewnie do Ameryki. Nosiła się z tym zamiarem od dawna. Albo przynęta z kimś na kontynent. Znasz ją przecież, to do niej podobne.

Mówiąc tak, popatrywała na Lilian spod oka, jakby dla sprawdzenia, czy mu wierzy. Przyrzekała mu się bacznie. Prawda, Monika żarła się z nim od miesiąca.

Rankiem Michael Telling, zdziwiony wdzięcznością, obdarzył Lilian sznurem pereł wody najczystszej.

— Ależ to majątek — wyszeptala zdumiona. — Mnie już niepotrzebne.

— Nie rozumie Moniki, jak mogła zostawić swoją biżuterię. Kobiety nigdy tego nie robią.

Michael Telling był tego dnia rozluźniony i swobodny. Nareszcie dał dowód, że jest mężczyzną jak każdy inny. Spodział z Lilian chwile niezapomniane, a z Moniką tylko się bliźnił, ośmieszając i kompromitował. Ona, cieta jak ona, nie szczędziła mu kpin i docinków. Była przeświadczona, że jest okazem bezmądrzejszego im-potenta.

Wieczorem zasiadł do ulubionej krótkofalówki.

— halo — doszedł go miły kobiecy głos — okropnie się dziś nudzę. A pan? Zapraszam wobec tego na kolację do „Ting-Yang” w Whycombe, strasznie lubię chińską kuchnię. Jadał pan pieczeń z ośmiornicą? Ja przepadam. Pozna mnie pan z latowości, szatyńka, trzydziści lat, średniego wzrostu, będę miała czarną torebkę w ręku...

Wprost z restauracji Joan udała się z Michael Tellingiem do jego domu. A cóż takiego, nie wolno, czy jak? Jest wdowa i choć ma dwoje dzieci, samotność doskwiera jej tak mało komu.

Kiedy Michael Telling wrócił jej w uśmiechu norki, nie mógł powstrzymać okrzyku radości.

— Po żonie — wyjaśnił.

— Zmarła?

— Nie, uciekła.

Tę noc zawrócił. Znow wyszedł na białą i niedojde. W pewnej chwili kobieta zaśmiała mu się w nos z drwiną i szyderstwem. I zaraz się zreflektowała. Biedaczek, pewnie po cichu zamartwia się ucieczką żony, stąd rozstrój nerwowy i niedyspozycja. No nie, następnym razem pójdzie dużo, dużo lepiej.

Ze snu wyrwało go szlochanie psów. Wyciągnął rękę i namacał zimną pościel. Gdzie Joan? Czyżby ułotniła się bez pożegnania? Niemieckie owczarki ujadają coraz zjadliwiej. Podszedł do okna i skamieniał z przerażenia. Joan szarpała z całej siły za kłamkę u drzwi pawilonu w ogrodzie. Zbiegł w dół, tak jak stał, w lekkiej tylko pidżamie i pościel klusem do drewnianego budynku.

— Przeżeni, co wyprawiasz! — wrzasnął. Wejrzała niemile zasłuchana. Michael drżał z wściekłości.

— Co się stało? — utkwiała w nim uważne spojrzenie.

— O co ci, do diabła, chodzi! — nadal wrzeszczał. — Te psy mogły ci pogryźć. Dobrze, że przynajmniej nie na noc do łóżka.

— Chciałam zobaczyć, co jest tam w środku.

Pociągnął ją za rękę tak gwałtownie, że syknęła z bólu.

— Idziemy, nie tam nie ma prócz zepsutej szuflki i różnych rupieci. Lepiej nie wchodzić. Bo jeszcze coś mogłoby spaść na głowę.

Joan wpatrywała się w jego twarz z uwagą. Krecił głowę i ciężko sapał. Na pewno jakiś postrzelenie. Żona nie przypadkiem puściła go w trąbę.

2.

Michael Telling zetknął się z 24-letnią wówczas Moniką Zumstąg w Santa Clara, podczas wjazdu do Kalifornii. Zakochał się w młodej Amerykance bez pamięci. Dozgonnie. Bo też zarabna to była wyjątkowo kobieta, o długich nozach i tali wciętej niczym modelka od Diora. Jej nabrzmiałe wargi i błyszczące duże oczy mówiły za siebie. Temperament ją rozszalał. Warto było ją widzieć. Niedługo już przedtem umarła.

Po powrocie do Anglii Michael Telling rozszedł się z Alison, swą pierwszą żoną i poślubił pannę Monikę Zumstąg.

Rodzice Moniki poculi się tym związkiem zaszczepci. Weźcie do angielskiej arystokracji wciąż uważa się w Stanach za honor nie być jakimiś. Monika upajała się „Lambourne-House”. Stanęła w zadumie po dywanach. Dotykała mahoni. Brała pod światło kryształowe wazy. Same dzieła sztuki. Takie rzeczy ogląda się w Stanach tylko w muzeach.

Zdł to się jej naraz, że znalazła księcia z bajki. Bo też „Lambourne-House” był zabytkowym dworem, utrzymanym w elżbietańskim stylu, obłożonym ongiś lennymi dobrami.

Michael Telling obywatel żony kosztownościami. Czyż nie wywoził się z klanu Vestey? Ta rodzina uchodziła za jedną z najzamożniejszych obecnie i najwplywowszych na brytyjskich wyspach. Joyce, matka Tellinga, była właśnie Vestey z domu. Fundament pod bogactwo rodziny położyli bracia William i Edmund.

Głowa rodu jest lord Samuel Vestey. Porównuje się go z Rockefellerem i Rotschildami. Lord Vestey zamieszkuje budzący podziw zamek w Stowell Park. Dosiada własnego odrzu-towca. Prowadzi wycieczki stadnie. Grywa w polo z członkami królewskiej rodziny. To finansista o rozległych niezmiennie konsekwencjach.

Należał do przeszło 200 wielkich firm roz-sianych na czterech kontynentach. Jego własność, a nie rozlelele rancza w Argentynie i Wenezueli oraz liczne stare zamki w samej Anglii. Majątek klanu Vestey szacuje się na 3 miliardy dolarów.

W swym testamentem William Vestey za-tyczył sobie, by każdy członek rodziny pobierał wysoką rentę do ostatniego tchnienia. Z tej fundacji czerpał też Michael Telling. Podzar-niał pod siebie do 100 tysięcy dolarów rocznie. Duże pieniądze zezwalały mu na wielkopańskie gesty i życie w zbytku, przepychu i nieustan-niej zabawie.

3.

Rychło czar przysnął. Monika ją napatrywał na meza okiem coraz bardziej chłodnym i nie-chetnym. Co za fajtana. Nie umie nawet ko-biet porządnie pocałować. Tego impotenta już nie nie uskrzydlił. Chwytała każdą tedw sposob-nością, by odskoczyć w bok i ponabijać mezo-wi rogów. Zasłużył sobie. Swym niedołęstwem drażnił ją i upokarzał. Kobięcie starczy, że jest piękna. Lecz co to za mężczyzna, jeśli jest słaby i miękki jak babski tyłek. Michael Tel-ling też ochłódł w swych uczuciach do Moni-ki. Cóż, nie wieczne nie jest, co się zaczyna, również się kończy. Miłość też. Tym bardziej, że od miłości do nienawiści kroczek tylko maleńki.

Monike odwiedzały mężczyźni. Jeszcze czę-ściej składały jej hold młode i piękne kobiety. Dochodziło tak w żalosnym melodramacie do scen istic teatralnych. Raz późnym wieczorem Telling przysłał żonę na kanapie z naga omal-że Rose-Mary. Obie, wyraźnie po silnej dawce marihuany, udały że jest dla nich powietrzem.

Jak miłość przerodziła się w nienawiść.

„Księżę z baśni”

JAN BABIŃSKI

Telling zbliżył się do podochocnych kobiet, nie drgnawszy powieką. Stał przed nimi i wtedy dopiero jego twarz zastygła w drwającej nienawiści.

— Radziłbym przemieść się do łóżka, będzie wygodnie — odwrócił się i trzasnął za sobą drzwiami.

Monike doszły słumione przekleństwa. Wy-czuła momentalnie przez skórę, że nad nią za-wisło śmiertelne niebezpieczeństwo. Michael umiał śmiew poskromić, rozdrażnienie stłumił, wściekłość utamował. Nie był z tych, co od ra-zu skaczą i wyrzucają sobie włosy z głowy. Gdy jednak zaciskał zęby i rąptem nieruchomiał, z jego rozszarpanych zębów blaskiem oczu tchnęło strasza.

Gdy Monika wróciła od przyjaciółki zalana w sztok, z czarnymi obwódkami pod oczami. Telling wyrwał rewolwer z kieszeni i przy-stawił żonie do skroni.

— Na kolana! — ryknął — Idź do trzech!

Nie doliczył. Monika przykleiła, zanosząc się rozdzierającym śmiechem. Przypadł do niej le-dnym skokiem i ułonił.

— Wybacz, kochanie, to już nigdy więcej się nie powtórzy.

Nazajutrz przywiódł żonę z Londynu hotel gęsto obsadzony brylantami. Mogło się zdawać, że pragnął okłodzić, co zasłono. Monika jednak doznane unokorzenia nie zapomniała. Nie umknął jej wyraz szaleńczej wściekłości w oczach Michaela. Lekka się teraz o życie na serio.

Zadzwoniła na policję. — W starum spicherzu miał przechowywać kłopotliwej broni, a te skarby mnie coraz bar-dziej niepokobi.

Przybyły do „Lambourne-House” inspektor Bistford wykrył cały magazyn. Małokalibrowe pistolety, dalekosiężne karabiny dla snajperów, wielostrzałowe rewolwery z obrotowym be-benkiem, śrutowe i kulowe dwururki, wyposa-żone w lunety winchestery. Ależ to istna zbro-łownia, inspektor nie krył zdumienia. Michael Telling stanął przed sądem pod zarzutem nie-legalnego posiadania broni. Thumaczyl, że jest kolekcjonerem, to tego hobby, każdy ma prze-cięć bliźka na jakimś punkcie.

Oplacił wysoką grzywnę. Broń mu skonfisko-wano. Nie mógł oddawać cennego niepomiernie rzadkiego zbroju, wartości ponad 100 ty-sięcy dolarów. I kto go wydał? Własna żona.

W napaście ostrej depresji wyrzucił cały swój zapas insuliny na okno. Równało się to wyrokowi śmierci, gdyż od lat cierpiał na cuk-rzycę. Po południu stracił przytomność. Od-ratowano go z trudem przy użyciu najnowo-cześniejszych środków. I zaraz przewieziono na leczenie do szpitala psychiatrycznego w Saint-Andrews. Dr. Road orzekł, że okres powrotu do zdrowia będzie „short-term”, potrwa naj-wyżej cztery tygodnie.

Monika, okazując dobrą wolę, odjechała do Kalifornii, żeby tam w jednej z klinik poddać się zabiegom odwykowym. W klinice odwiedzi-ła ją matka. Błagała córkę, by nigdy już do Anglii nie wracała.

— Dojdzie do tragedii, zobaczysz, ale ostrze-żam — los dale, los odbiera, pewnie, ale lepiej pogodzić się ze stratą meza niż ze stratą życia.

— Mam, co ty, Michael nie jest taki zły. Jeszcze wszystko się ułoży i owinie go sobie ko-ło nalszka.

4.

Ledwo Monika przekroczyła próg „Lambour-ne-House”, a bez tchu prawie pofrunęła do ba-ruku w salonie. Mało nie oszalała w tej prze-klestej klinice. Co z tego w koktajlach? Och, co to za rozkosz wreszcie znów przepłukać sobie gardziółkę. Zadzwoniła po Rose-Mary. Zaraz też odwiedziły je inne przyjaciółki. Michael Telling nadal przytykał oczy. Z równowagi zaczęły go dopiero wyprowadzać coraz częstsze wizyty mężczyzn. Nie odstępował Moniki Dick Barkley, znany w tych stronach gogus i bawi-damek.

Mijał tak dzień po dniu na tarciach i swa-rach, aż któregoś niedzieli Monika natknęła się w biurku męża na rachunek za pistolet. Więc to tak, Michael jest znów uzbrojony. Może w jego głowie wykuł się już jakiś straszny za-miar? Tak, trzeba będzie ponownie zawiado-mić policję. Tym razem Michaelowi już to pia-żem nie ujdzie.

Trafł zrzadził, że nieodzowna okazała się na-tychmiastowa operacja jej działka. I to w szpi-talu. Natychmiast zjawił się przy jej łóżku Mi-chael Telling z bukietem kwiatów. Był pełen atencji i szacunku. Jakby się umówili, do szpi-tala przybył również Dick Barkley. Trzymał wianek róż w ręku. Tego było już za wiele. Telling urządził wściekłą awanturę. Wpadł w szal, młotając dźwięki przekleństwa nawet na Boga ducha winną pielęgniarkę.

Po tygodniu, wciąż roztrzęsiony i ziryto-wany, wyraził zgodę na dłuższą, tym razem, ku-rację w Saint-Andrews. Kiedy nadszedł czas, by się spakować, zaczął zwłoczyć i marudzić. Wreszcie patrząc na Monikę zimno i ponuro, oświadczył.

— Wiem o co ci chodzi. Chcesz mnie zam-

knąć w szpitalu jak kogoś niepożytecznego, że-by sobie w tym domu pohulać do woli.

Monika nie ustępowała.

— Masz jechać i tyle, sam się zopodziel — jej głos był ostry i gniewny.

— Nie, wybij to sobie z głowy.

— Tak, wobec tego wezwę policję i pokażę im rachunek za pistolet. Wybieraj, bo jak nie chcesz iść do szpitala, to pójdziesz za kratki.

Zwiesił nisko głowę, ciężko oddychając. Było dlań jasne, że Monika nie blefuje.

— Dobrze, pojedę — wykrztusił — ale daj mi czas do jutra.

Strzelił do niej, gdy się odwróciła. Padła twarzą w dół jak rażona gromem. Wtedy na-cisnął spust jeszcze dwukrotnie.

Dramat rozegrał się w marcu 1983 r.

Michael Telling wykazał zadziwiająco dużo zimnej krwi, sprytu i przebiegłości. W ciągu niewielu godzin fachowo pozacierał wszelkie zauważalne ślady zabójstwa. Nocą przemieścił ciało w celofanowym worku do pawilonu w o-grodzie. Drzwi sarygował na cztery spusty. Po cóż zwłoki ówiarować i wynosić, brzydkił się tym, skoro po roku same się rozłożą. Silny wentylator jest tylko potrzebny, żeby usunąć zaduch. Sprawił go sobie w Londynie.

Rozdzwonił się telefony. O Monikę pytały jej przyjaciółki. Odpowiadał sucho, z powagą i udaną udręką w głosie.

— Prześlazicie mi wreszcie wtercić dziurę w brzuch. Wyjechała do Kalifornii, myślę, że na stałe.

Po północy znów poderwał go raptowny dźwięk telefonu.

— Słuchaj no, ty bydlaku — głos w słuchaw-ce brzmiał wulgarnie i salatywał londyńskim slumsem — Jeszcze się z tobą porachujemy.

Te pełne groźby telefony nie ustawały. Z czasem doprowadziły Michaela Tellinga na skraj nerwowego szaleństwa. Czyżby ktoś podpatrzył, jak przetrząsał zwłoki do pawilonu? Ale kto?

Beryl, sąsiadka, usiłowała go pocieszyć. Bez skutku. Okazywał wciąż większe zdenerwowa-nie. Zaczął szukać ucieczki od zgrzyot i lęku w silnych dawkach alkoholu. Raz jeden, w chwili słabości, odwrócił do Beryl swą wilgotną od przepicia i zaczerwienioną twarz, prze-lknął ślinę i wymamrotał.

— Tobie mogę powiedzieć, Monika nie żyje, to ja ją zabiłem.

Beryl zmierzwiła.

— Co ci napadło, opamiętaj się, oszalałeś, co ty właściwie wygadujesz.

5.

Mijał już piąty miesiąc od dnia popełnienia mordu, gdy w „Lambourne-House” pojawił się John Remmer. Przybył z polecenia lorda Ves-tey. Otóż głowa rodu zarządziła remont wszyst-kich dworców i szarnieczków rodzinnych. Miał być przywrócone do dawnej świetności. Na pierwszy ogień ma pójść „Lambourne-House”. Brygady naprawcze przystąpią do dzieła naj-później za dwa dni.

Michael Telling zmiękł. Nie wściekając, wy-wiół zwłoki do lasu pod Exeter, odległego o 300 prawie kilometrów. W gęstym borze siekiera oddał od ciała głowę żony i wrzucił do bagaż-nika. Po czym odjechał, aż oczy nawykły do

ciemności i wąską ścieżyną zafaszerzył dokoła na brzeg płytkiego dosyć parowu. Zsunął je w za-rośla.

Wiechał do garażu „Lambourne-House”, gdy z pobliskich łąk wypłynęły już poranne mgły. Lasem pod Exeter zmierział o świcie na skró-t do miasta komiwojażer John Spencer. Naraz na wąskiej drożynie dostrzegł ślady kół. Ktoś tedy przejechał, ale kto? Zaintrygowany odstawił motocykl pod drzewo i ruszył w kierunku ja-ru. Na krawędzi zatrzymał się. Tu ślady się urywały. Spojrzał w dół i dostrzegł wychyloną zza krzaków białą dłoń. Aż krzyknął z wra-żenia.

Ruszył przed siebie na pełnym gazie i powia-domił o makabrycznym odkryciu miejscową policję. Do lasu podążyła grupa śledczych. Na miejscu stwierdzono nie bez satysfakcji, że przestępca dopuścił się kilku szkolnych błę-dów. Na cele ofiary pozostawił fantazyjny golf. Nie uprzątnął też żebów zamordowanej. Odnaleziono ich siedem. Było już o co się zaha-czyć.

Wieczorem Beryl przecierała oczy w rosną-cym osłupieniu. Na telewizyjnym ekranie wy-kwitły w dużym powiększeniu różne partie sweterka z wielobieżnej wełny. Równocześnie spiker informował, że golf należał do młodej kobiety, pozabawionej życia jakieś 5 miesięcy temu. Jej zwłoki z odrąbaną głową ukryto w krzakach liściatego lasu pod Exeter. Czy ktoś ten sweter rozpoznaje?

Beryl, wstrząśnięta do głębi, krzyknęła na męża.

— Jack, popatrz, to golf Moniki, wiem na pewno, przypomniał mi się z Maroka.

Przyszedł jej na myśl Michaela. Do-niosła o swych podejrzeniach policji, choć nie bez wahania, oporów i po długim namyśle. Przy-jaźniła się z Michael Tellingiem od lat. Nie mogła wprost dopuścić myśli, żeby był zdolny do czynu tak okrutnego.

Policja poszła innym też tropem. Tajniacy wykryli, że zamordowanej operowano dokoła w szpitalu. Dentystom przedstawiono odkryte przy-zwłoki zęby. Ci zająłi do kartotek i porów-nali je ze szpitalnym prześwietleniem. Nie ma wątpliwości, zawyrokowali, żeży należały do Moniki Telling.

W obliczu dowodów nie do obalenia Michael Telling przysnął się do winy. Tak jest, to on zabił. Wysperano przecież także głowę Moni-ki, schowaną umiejętnie w garażu „Lambour-ne-House”.

6.

Proces odbył się przed sądem w Exeter w czer-wcu 1984 r.

Na rozprawę zjechali sprawozdawcy najpo-czynniejszych gazet i wszystkich koczujących się tygodników. Sprawa przybrała posmak wielkie-go skandalu. Coś niesłychanego. Mord i sadyzm, orgie, wyuzdanie i plaństwo, noce seanse nar-kotyczne i dzikie awantury.

Niezatarte wrażenie wywarło na ławie przy-sięgłych wystąpienie dr. Hamiltona z zakładu w Broadmoor. Ten czołowy psychiatra, zarazem ekspert sądowy, odbył z Michael Tellingiem w celu więziennym kilka długich ponad miarę i otwartych rozmów. Nieugięty, nieprzekupny i znany z uczciwości, wyrobił sobie o podsąd-nym zdanie jasne, nie podlegające dłu dysku-sji.

„oskarżony nie wykazuje najmniejszych o-znak obłąkania. Jest zdrow na umyśle. Gdyby działał pod wpływem emocji i w afekcie, nie oddałby po tym pierwszemu, jeszcze dwóch dal-szych strzałów do żony, rozciągniętej już bez ruchu, na podłodze. Uczynił to więc z premedy-tacją. Każdy swój krok, także po morderstwie, starannie przemyślał i przygotował. Odciecię zaś głowy szczerze było cynicznym wyrachowaniem. Jakby było tego mało, wpuszcł do worka ro-bactwo, zakupione w sklepie wędkarskim, żeby czaszka uległa szybkiemu rozkładowi. Tym po-sunięciem pragnął wszystkich zaszokować, wywieść w pole i uniemożliwić raz na zawsze identyfikację ciała. Ten okrutny postęp z całą jaskrawością obnaża zbrodniczą naturę mor-derey i jego zupełny brak skrępowania...”

Michaela Tellinga bronił George Carman, najsłynniejszy londyński adwokat. Tym razem musza jakby go opuścić. Nie błysnął swym zwykłym, krasomówczym talentem. Wypa-ścił błąd i nieprzekonywalność. Na korzyść oskar-żonego przemawiali też dwaj wybitni psychiat-ry, profesorowie Robert Buglass i Paul Bow-den. Dowodzili, że Monika była istotą zepsutą i do ona szdemalizowana. To alkoholizacja, narkomanka i notoryczna lesbijka. Arogancka, zarozumiała osobka, lubująca się w obelgach i wyuzdaniu. Provokowała męża i omal nie zasz-czuka go na śmierć.

Michael Telling doprowadzony przed sąd z pełną więzienną w Exeter, gdzie mu do obladu podawano nawet butelkę burgunda, nie stracił na rozprawie pogody ducha i spokoju. Ele-gancki, na luzie, w jedwabnej koszuli i jed-wabnym krawacie pod szyją, prezentował się godnie i wyniośle. Od czasu do czasu rzucił o-kiem na przybyłą z Australii matkę i Alison, swą pierwszą żonę. Obie panie siedziały na sali obok siebie, trzymając się ostentacyjnie za rę-ce.

Sąd uznał Michaela Tellinga winnym popeł-nienia zabójstwa nierozmyślnego i skazał na dożywocie.

Werdykt tylko z pozoru szambował surowo. Nie przypadkiem matka Tellinga i Alison odel-snęły z widoczną ulgą. Rzecz w tym, że sąd nie doszukiwał się zbrodniczych intencji. Skaza-ny oddał strzałę w stanie psychicznego wzbu-rzenia. Dożywocia nie bierze się w Anglii do-słownie. W takim wypadku można opuścić wię-zenie już po 6 latach, jeśli tylko się uzna, że skazany wyżył się pazurów i stał się dla oto-czenia niegroźny.

Rzecz zastanawiająca, sprawca owych niepo-kojących Tellinga nocnych telefonów nigdy się nie ujawnił.

1. W marcu 1983 roku obchodziliśmy 25 lat istnienia „Odgłosów” i zrobiliśmy w Muzeum Historii Miasta Łodzi wystawę, na której pokazaliśmy dorobek pisma. Nie tylko roczniki „Odgłosów” różnie redagowane, o różnej szacie graficznej, ale i książki, które powstały z tekstów drukowanych na łamach pisma, i ludzi których pokazywaliśmy przez 10 lat — Łódzian Roku.

Było ich stu — ludzi różnych zawodów: muzycy, malarze, pisarze, działacze kultury, lekarze, sportowcy. Niektórzy z nich odeszli już na zawsze, ale pozostali na łamach pisma, w pamięci Czytelników. Zawsze — przy każdej takiej okazji jak ta — będziemy ich

3. W jubileuszowej wkładce wspominamy byli naczelni „Odgłosów”, byli i obecni pracownicy, zwołania mnie to od wspomnień. Chciałbym się skoncentrować na pytaniu: I co dalej?

Nie będę ukrywał, że — tak jak wielu dziennikarzy z wagą śledzących rynek prasowy — spodziewam się, iż po podniesieniu cen czasopism na rynku tym zajdą duże i dla wielu być może zaskakujące zmiany. Spodziewam się nawet, że parę pism padnie, zbankrutuje, bo straci czytelników. A straci ich dlatego, że nie potrafi zaspokajać ich oczekiwań. Czytelnik bowiem zmienił się znacznie, a niektóre pisma nie. Mamy w podtytułach napis:

biety oraz na tym, że w drukowanych tekstach pojawiają się drastyczne opisy tego, co zwykliśmy skrytykować pod kórą, a co jest przecież częścią naszego życia.

Publikowaliśmy wypowiedzi specjalistów — ludzi nauki — na temat tego, co jest a co nie jest pornografią. Mogę w tym miejscu przypomnieć, że w 1858 roku Gustaw Flaubert stanął przed sądem jako autor „Pani Bovary” oskarżony o szerzenie pornografii. Dziś jest to klasyka, której nie broni się nawet uczniom szkół średnich. Mogę przypomnieć losy „Kochanka Lady Chatterley” D. H. Lawrence’a czy „Ulyssesa” J. Joyce’a, nie wspominając już o „Lolcie” Vladimira Na-

ślesław Jazdzynski

— Byłeś „ojcem” naszego tygodnika. Czy mógłbyś powiedzieć jak powstały „Odgłosy”?

— Ojcem, jak ojcem, już przed „pasierbem” „Głosu Robotniczego”.

— Wyjaśnij to, proszę.

— Po niesławnym, nieeleganckim, niegrzecznym, w moim przekonaniu zupełnie niepotrzebnym zlikwidowaniu „Kroniki”, wytworzyła się pewna pustka. I co by nie powiedzieć o ówczesnych władzach, nie miały one żadnego przekonania, że Łódź jest potrzebne pismo kulturalne. „Odgłosy” są właśnie dzieckiem braku przekonania władz. Z drugiej jednak strony istniało parcie środowisk kulturalnych. Zechciej pamiętać, że trzydzieści lat temu w Łodzi także mieliśmy środowisko literackie o bardzo dobrych nazwiskach, o „silnych” głosach, ludzi nacechowanych wielką odwagą cywilną. Tak więc presja była. Władze, jak to władze, wybrały drogę pośrednią. Przypomina to anegdotę, jaką przytacza Orkan w swoich „Listach ze wsi”. Otóż chłop wyprawiając swojego syna na nauki, takie dawał mu rady: „Ty się na początek nie pchaj, na końcu nie zostawaj, środka też nie musisz się trzymać, kłószka jęgociści słuchaj, swoje myślenie, a kuferek miej zawsze zamknięty”. Otóż od atmosfery tej anegdoty wówczas było. A decyzja władz była następująca: „Głos Robotniczy” będzie wydawał dodatek pt. „Odgłosy”. Ja wcale nie byłem redaktorem naczelnym „Odgłosów”, choć byłem nim de facto, ale de jure to byłem zastępcą redaktora naczelnego „Głosu Robotniczego” do spraw redagowania „Odgłosów”.

— Gdzie wówczas mieszcili się „Odgłosy”?

— Przy „Głosie Robotniczym” w gmachu przy Piotrkowskiej 96. Byliśmy z „Głosem Robotniczym” na jednym piętrze i zajmowaliśmy trzy bardzo ciasne pokoiki. Tak więc „Odgłosy” były wówczas niedzielnym dodatkiem codziennej gazety partyjnej. Władze wychodziły z założenia, że jak to będzie się trzymać kupy, to się „Odgłosy” usamodzielnia, a nie — to się ten dodatek zlikwiduje.

— Kto wówczas wchodził w skład redakcji?

— Jest to sprawa, która wydaje mi się ogromnie ważna. Sama rozumiesz, że mogą być dwa rodzaje pisma: ze względu na sposób redagowania. Po pierwsze — można mieć mały zespół i dużo współpracowników, po drugie — mieć kolosalny zespół i ograniczoną ilość ludzi z zewnątrz.

— O ile się orientuję, ówczesny zespół był mały...

— Miałem, ale ogromnie charakterystyczny, bo odbiegał od koncepcji tych dawniejszych, solennych, kawaliarskich pism literackich. Wydawało mi się, że u nas ciągle się owa piękna, rzewna nie tych ludzi, kiedy to siałą się w kawiarni i się pismo „redagowało”. Jednocześnie wydawało mi się, że nastąpił zmierzch tej epoki, ponieważ nastąpił zmierzch kawiarni. Ale przede wszystkim w mieście takim jak Łódź, dawne literackie pismo nie miały racji bytu. Stąd powstał osobliwy mariaż literacko-dziennikarski zespołu, co trwa po dzień dzisiejszy i co uważam za rzecz bardzo dobrą.

— Gdzie po roku „Odgłosy” się usamodzielniały, a ja ku swemu przerażeniu, zostałem redaktorem naczelnym.

— Z czym wyszliśmy do czytelnika?

— Wyobraź sobie, że obywateli poczytność miały dobre e-pracowawane — z domieszką sensacyjności, tajemniczości — materiały dotyczące np. drugiej wojny światowej. Nie było wówczas jeszcze tytułu publikacji i książek traktujących o tych latach. Był to czas, kiedy powstawała telewizja i pisanie o niej trochę skandalizujące — robił to Zbigniew Nowicki-Niemacki — przyciągał czytelników. Natomiast Zbigniew Chyliński zamieszkał swój felieton belfra. To był dwaj czołowi dziennikarze „Odgłosów”. Oczywiście, nie mogę powiedzieć, że było to towarzystwo łatwego prowadzenia, ale sam wiesz, że redakcja bez temperamentu to jest to samo co literatura bez zębów.

— Polska w okresie „Wielkiego Nieboszczyka” była obszarem trochę zamkniętym dla reportażysty. A w owych latach nagle jakby usunięto bariery i funkcja reportażu stała się większa, reportaż stał się nośniejszy. Wtedy właśnie narodziło się znakomite pokolenie reportażystów w Łodzi: Andrzej Brycht, który kosztował mnie pierwsze siwe włosy, ale który był człowiekiem o niezwykle czułych oczach i uszach, Karol Badziak, pierwszy reportaż przyniósł Jerzy Wilmański...

— Chęć ci przypomnieć, że wówczas debiutował w „Odgłosach” Andrzej Makowiecki.

— On wszedł w drugiej fazie pisma, ale wszedł przebojowo, od razu jako reporter rasowy. Zaczynał także jako reporter obecny redaktor naczelną „Poezji” Marek Wawrzkiwicz. Natomiast jeśli chodzi o literaturę, to nią zajmował się Jarosław Marek Rymkiewicz. Muszę powiedzieć, że ostra była publicystyka tamtych czasów i jednym z takich publicystów był właśnie J.M. Rymkiewicz; śmiałym i interesującym publicystą był także Marian Piechal.

— Od jakiego nakładu wystartowały „Odgłosy”? Pytam dlatego, iż przez wiele lat mówiło się, że za twojej kadencji nasz tygodnik miał najwyższy nakład. Pamiętam, że dopiero w latach 1980—1981 tamten rekord został pobity. Nie mówię oczywiście o dniu dzisiejszym, kiedy wszystko jest inne: i Łódź, i potrzeby czytelników, i zespół redakcyjny, i warunki w jakich się pismo ukazuje. Dziś drukujemy „Odgłosy” w 70-tysięcznym nakładzie, nie uważając, iż jest to szczyt naszych możliwości. A jak to było w końcu lat pięćdziesiątych?

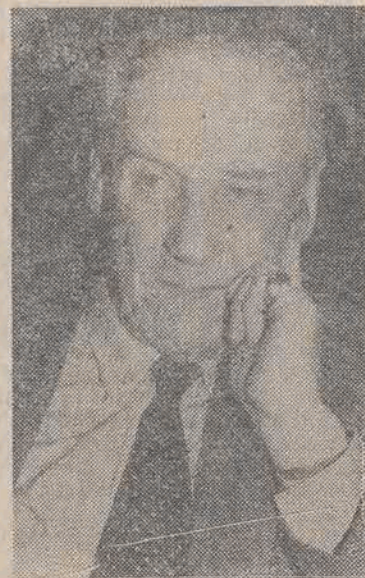
— Dla mnie było to bardzo silne przeżycie. Kolegom dziennikarzom wydawało się, że przygotowują pierwszy numer „Odgłosów” w sposób zupełnie rewelacyjny, a więc nakład powinien wynieść co najmniej 40 tysięcy egzemplarzy. A że nie było wtedy trudności z papierem, dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego zaryzykował. I pierwszy numer się rozszedł! Myślałem, że u czytelników zwyciężyła ciekawość, bo samo pismo — tak sądzę — nie było rewelacyjne. Natomiast drugi numer o tym samym nakładzie już nie rozszedł się całkowicie. Zresztą nakłady bywały różne, w zależności od wielu, wielu czynników obiektywnych.

— Jak długo byłeś naczelnym?

— Tyle ile trzeba, sześć lat. To moja życiowa miara.

— A dlaczego odszedłeś?

— Powiem szczerze: miałem serdecznie dość tej pracy. Myślałem, że zgodziłem się na nią, że „Odgłosy” są pismem wyjątkowo trudnym do redagowania, są pismem nerwowym, bardzo absorbującym. Był to czas, kiedy zaczęły wychodzić moje książki. A z pismem jest jak z kobietą: jeśli chcesz z nią porządnie żyć, musisz jej poświęcać dużo czasu. A mnie czasu zaczęło brakować. Nie tylko dotknęło to mnie: podobnie postąpił J. M. Rymkiewicz, Marek Wawrzkiwicz... Sądzę, że przekazyaliśmy pismo swoim następcom w jakimś przyzwolonym stanie.



LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Trzydzieści lat minęło i co dalej?

wspominali. Są nieodłączną częścią historii pisma, jak pismo jest nieodłączną częścią historii miasta.

Czas mija bardzo szybko. Minęło kolejnych pięć — niełatwych przecież — lat i oto mamy trzydziestolecie. Tym razem nie organizujemy wystawy. Przygotowujemy dla Czytelników kilka różnych niespodzianek. Nie chcę ich zdradzać, gdyż są w przygotowaniu i jeszcze nie wiadomo, czy wszystko nam się uda. Gdy tak się stanie, zdradzimy tajemnicę.

Nie planujemy też żadnej jubileuszowej uroczystości. Nie czas po temu. W maju — już po raz czwarty — będziemy przyznawali nagrodę „Odgłosów” za upowszechnianie kultury w 1987 roku. Wtedy będzie okazja, aby się spotkać z przedstawicielami władz, laureatami nagrody z poprzednich lat, Czytelnikami. Zresztą spotkań z Czytelnikami planujemy kilka. Ale o tym też powiadamy, gdy sprawy zostaną dobrze zaplanowane.

2. Z okazji wspomnianej wystawy wydaliśmy katalog, który nam do dziś służy jako druk reklamowy. Sygnałem do tego katalogu i znalazłem tam taki fragment przez siebie napisany. „Myślę, że „Odgłosy” trafiły w społeczne zapotrzebowanie. Nie próbowały startować ponad to zapotrzebowanie. Trafiły do Czytelnika i rosły razem z nim. Potwierdzały to każde wahnięcie nakładu. Ilekroć próbowano odrywać się od tego zapotrzebowania, nadszły inne wzory, tyle razy gwałtownie spadał nakład”.

Dziś mógłbym spokojnie powtórzyć te słowa. Tym bardziej, że drukujemy pismo w 70 000 egzemplarzy i sprzedajemy prawie wszystko. Zwroty są niewielkie — około 5 procent nakładu.

Ale dziś powtarzam te słowa w bardzo trudnej sytuacji. Przykro nam niezmiennie, że jubileuszowy numer „Odgłosów” ukazuje się po zwiększonej cenie. Dla nas wszystkich jest to czas trudnej próby. Czy Czytelnik będzie chciał sięgnąć do kieszeni po 50 złotych, aby kupić „Odgłosy”?

Sprawa ceny jest poza naszymi możliwościami. Obliczyliśmy, że przy cenie 50 złotych za egzemplarz i przy sprzedaży 65 000 egzemplarzy powinniśmy „wychodzić na swoje” — to znaczy pokrywać koszty wydawania pisma. Zarabialiśmyby jedynie na publikacji ogłoszeń. Takie są prawa rynku, takie są wymagania reformy gospodarczej, która nas też dotyczy.

Co możemy natomiast zrobić? Co od nas zależy?

Możemy lepiej pisać i redagować pismo! Musimy zrobić tak, aby Czytelnicy nadal akceptowali „Odgłosy”. Myślę, że źródłem naszego powodzenia jest różnorodność, atrakcyjność, szybkość w reagowaniu na wydarzenia oraz stały dialog z Czytelnikiem. Przygotowywaliśmy się do tego od dłuższego czasu i można mieć nadzieję, że Czytelnik to zaakceptuje.

Tygodnik Społeczno-Kulturalny. „Odgłosy” powstały 30 lat temu jako „Tygodnik Łódzki” — wspomina o tym Wiesław Jazdzynski. To Wacław Bilski zmienił formułę pisma, a Jan Koprowski i Jerzy Wawrzak ją utrzymali. Formułę tę rozumiano jako pismo adresowane do środowisk kulturalnych, zajmujących się upowszechnianiem kultury, twórczych. Ale — jak wskazuje praktyka — środowiska te bardziej oczekują opinii o nich z Warszawy czy Krakowa niż z Łodzi. I nie można im tego mieć za złe. Trzeba tylko wycofać z tego faktu odpowiednie wnioski. I myślny je wyciągnąć.

Przeprowadzona w 1987 roku anketa wśród Czytelników pokazała, że w większości czytają pismo ludzie o wykształceniu technicznym, którzy poszukują humanistycznych treści. Zatem o kulturze, o życiu dla wszystkich — tak dziś rozumiemy te formuły. I praktyka — wysokość nakładu — potwierdza, że rozumiemy ją właściwie.

3. Sformułowanie: Tygodnik Społeczno-Kulturalny — budzi niekiedy różne nieporozumienia. Porozmawiamy zatem o kulturze.

4. W Listach, które zresztą sumiennie drukujemy, a w których Czytelnicy wyrażają różne do nas pretensje, powtarza się taki zarzut: — Jesteście pismem społeczno-kulturalnym a drukujecie takie rzeczy! — Dotyczy to najczęściej tekstów, z którymi Czytelnicy się nie zgadzają, które budzą ich sprzeciw. Pewna Czytelniczka z Sochaczewa napisała nawet na nas skargę do ministra kultury, że drukowaliśmy fragment powieści Jerzego Kosinińskiego pt. „Malowany ptak”.

Czytając uważnie te listy, odnoszę takie wrażenie, że niektórzy Czytelnicy przywołują „kulturalny” rozumieją jako synonim „grzeszny”, „układny”, „bezkonfliktowy”. Otóż dziś nie można wydawać pisma „grzesznego”, bo nikogo ono nie będzie obchodziło. Możemy się różnić w poglądach, ale trzeba je mieć. Chcemy je więc prezentować — również na kulturalnie.

Bardzo często komentując drukowane listy zwracamy uwagę naszym korespondentom, że tolerancja rozumieją jako wyłączenie zgody na ich poglądy. Według nich dialog ma polegać na tym, że oni będą wygłaszać to, co myśla, a inni powinni grzecznie potakiwać. Podczas, gdy my rozumiemy dialog, jako prawo do wyrażania innych poglądów, z którymi niekoniecznie musimy się zgadzać. Również jako prawo do obrony swoich poglądów przed atakami, przed zalewem innych, nie zawsze zgodnych z marksizmem. A więc proszę bardzo — dyskutujmy, rozmawiajmy, a nie wymuszajmy zgody na „nasze” poglądy, jak to niekiedy czynia niektórzy Czytelnicy.

5. Zarzuca się nam między innymi pornografię. Ma to polegać na tym, że Janusz Szymański-Gilanc rysuje gołe kobiety oraz na tym, że w drukowanych tekstach pojawiają się drastyczne opisy tego, co zwykliśmy skrytykować pod kórą, a co jest przecież częścią naszego życia.



bokowa. A „Zmory” czy „Motory” Emilia Zagadkiewicza, a choćby „Dzieje grzechu” Stefana Żeromskiego. Te przykłady pokazują, jak niekiedy śmieszne są oskarżenia o pornografię, jak czasami niweluje ostrość sądów, wygasza emocje i sporna powieść albo staje się dziełem klasyki, albo... ulega zapomnieniu.

Żyjemy w czasach, kiedy szybko zmieniają się mody, obyczaje, stereotypy. Czy w takich czasach pismo może być zachowawcze, iść wbrew temu, co dzieje się w życiu? Czy też naszym obowiązkiem jest informować Czytelnika o tym, co pojawia się nowego, co zmienia się, co budzi ludzkie emocje, co być może okazuje się pomysłowe, ale o czym kulturalny człowiek powinien wiedzieć? Właśnie tak rozumiemy nasz obowiązek wobec Czytelnika.

Chcemy więc i będziemy pisać o tym, co się nowego pojawia w kulturze, będziemy próbować zapoznawać Czytelników choćby we fragmentach z nowościami literatury nie tylko krajowej.

A przy okazji. Proszę zwrócić uwagę na taki fakt. Warszawska „Kultura” drukuje „Dagome ludex” Zbigniewa Niemackiego i jakoś fakt ten uchodził uwagi różnych purystów. Nikt nie protestuje, nie oskarża, nie obraża się, choć pismo ma w tytule słowo: „Kultura”. A przypominajmy sobie, co to się dzieło, gdy ośmieliliśmy się drukować „Raz w roku w Skiroławkach”. Cóż, czasy się zmieniają. Zmienia się też punkt widzenia. Inaczej z Warszawy widzi się to, co dzieje się poza Warszawą, a inaczej to, co dzieje się w samej Warszawie.

6. Kultura jest pojęciem szerszym i wielce złożonym. Różnie jest też rozumiana. Każdy szuka czegoś innego, nie wszyscy potrafią ogarnąć całość tego złożonego zjawiska. Na naszych oczach dokonują się zmiany, których znaczenia możemy nie rozumieć lub nie doceniać. Na przykład — wideo. Postadaczej drogę aparatyry znalazł

— Mam rozumieć, że czułeś się już wtedy bardziej pisarzem niż dziennikarzem?

— Tak. Sam wiesz, co to znaczy zrehabilitować co tydzień te 100 stron maszynopisów!

— Na dobrą sprawę, nigdy od „Odgłosów” nie odszedłem...

— Nie byłem przez te lata regularnym, przysięgłym czytelnikiem tego pisma. Były okresy, kiedy zupełnie nie czytałem „Odgłosów”.

— A jak oceniasz nas dzisiaj?

— Może odpowiem na własne pytanie: dlaczego ta rozmowa sprawia mi przyjemność? Dlatego chyba, że widzę u was wciąż tę samą troskę w poszukiwaniu specyficznego odbiorcy nie tylko w Łodzi, ale na terenie całego kraju. Pozostała u was ta sama troska o kulturę, którą chcecie przekazać czytelnikowi.

— Gdybyś ponownie zasiadł na stołku redaktora naczelnego „Odgłosów”, czy zmieniłbyś coś w tym piśmie?

— Być może.

— Konkretnie, co?

— Kiedy mówi się w Polsce o polityce kulturalnej, zawsze wymienia się jej jeden człon: Ministerstwo Kultury i Sztuki. Zapomina się natomiast o drugim, jakim jest Ministerstwo Oświaty i Wychowania. Nie chodzi mi o to, żebyście wśród tych kilkudziesięciu tysięcy nauczycieli znaleźli swoich czytelników, myślę jednak, o wycelowaniu pisma na sprawę, czym jest polska szkoła w polskiej edukacji kulturalnej, w kształtowaniu świadomości. Tutaj macie ogromne pole do penetracji i ogromną szansę. Bo należy sobie odpowiedzieć na pytanie: o co tu chodzi? o wiedzę o kulturze czy o sposób myślenia? W moim przekonaniu jest to ogromny i ważny odcinek niesłusznie porzucony i opuszczony. Pomyślcie o tym...

— Rzecz warta rozważenia.

(Redakcja nie udało się przeprowadzić rozmowy ze względu na fakt, iż Wacław Biliński przebywa poza Łodzią).

Wacław Biliński

Był drugim z kolei redaktorem naczelnym „Odgłosów” w latach 1964–1968. Pisarz, reportażysta, autor scenariuszy filmowych i telewizyjnych. Debiutował w 1953 r. na łamach prasy i w radiu. Zarówno w swojej twórczości literackiej, jak i w publikacjach dziennikarskich nie unika tematów trudnych, spraw niepopularnych, a mających ściśle związek z naszą historią najnowszą. Można zaryzykować twierdzenie, że najbardziej fascynuje go człowiek uwikłany w historię oraz historia determinująca losy ludzkie.

Jest znakomitym fotografikiem, czego potwierdzeniem był wydany przed laty album „Łódź jaką znam”.

Pracował w radiu, w zespole filmowym.

Zołnierza Wojska Polskiego w czasie zawieruchy wojennej, co nie pozostało bez wpływu na jego twórczość literacką, choć jak wspominałem, tematyka tej twórczości z upływem lat zaczęła zataczać coraz szersze kręgi: od współczesności po historię (dla przykładu: „Wyjaśnienie” — powieść o wypadkach z lat 1980–1981 oraz „Sprawa w Marsylii” — rzecz o młodości Josepha Conrada).

Przypominamy Czytelnikom dorobek literacki Wacława Bilińskiego: „Szósta bateria”, „Opowiadania”, „Ból”, „Lato po wojnie”, „Nagrody i odznaczenia”, „Szkic do portretu”, „Los i łut szczęścia”, „Wróć do siebie”, „Koniec wakacji”, „Wypadek”, „Ikony”, „Widoki o zmierzchu”, „Sprawa w Marsylii”, „Wyjaśnienie”, „Pomadka od Hawurassa”.



Jan Koprowski

— Znamy się parę dziesiątków lat i ta znajomość ośmiela mnie, by zwracać się do pana per panie Janie. Proszę zatem panie Janie powiedzieć, co dała panu praca w „Odgłosach”?

— Przede wszystkim należy zacząć od tego, że mnie zawsze ciągnęło do prasy, gdyż zawsze mi zależało na bezpośrednim kontakcie z czytelnikami. Nie wyobrażam sobie swojego życia, a patrzę już na nie z dość dużej perspektywy lat, bez tego stałego, codziennego, a przynajmniej tygodniowego kontaktu z czytelnikami. W moim przypadku ten kontakt wyrażał się poprzez pisanie felietonów — przez pięć

lat — w „Dzienniku Łódzkim” a jeszcze wcześniej w „Kronice”, potem w „Odgłosach”. Z Łodzi pisałem także do „Dziennika Polskiego” w Krakowie „List z Łodzi”. Słowem te moje kontakty z prasą manifestowały się w sposób trwały i dość różnorodny. I kiedy zaproponowano mi pracę w „Odgłosach”, zgodziłem się. Najpierw pracowałem jako kierownik działu literackiego, a potem już jako redaktor naczelny. Bardzo miłe wspominać ten okres.

— Przyszedł pan do „Odgłosów” w dość krytycznym momencie dla pisma: nakład był chyba wtedy najniższy w całej historii „Odgłosów”. Co pan robił, aby to pismo uratować?

— Za mojej kadencji nakład się podniósł. Ja od niezapamiętanych czasów holduję zasadzie, którą wyraził główny bohater sztuki Sartre’a Niekłaskow: gazetę się nie robi, gazetę się tańczy. A więc w gazecie nie może być ciężkich „kobył”, sążnistej artykułowości, nasyconych trudnym do zrozumienia językiem. Robięm wszystko, co możliwe, aby ludzie pisali teksty względnie krótkie i względnie komunikatywne. Dewizą moją było i to, że by jak najwięcej było różnych rzeczy, by dla każdego znalazło się coś odpowiedniego i napisane w sposób strawny, a także w miarę możliwości w sposób dowcipny. Przypomnę, co mówił profesor Tatarkiewicz w fundamentalnej „Historii filozofii”: Każdy człowiek mówiący, wykładający czy piszący ma do wyboru dwie możliwości. Jedną — przerzucić cały ciężar zrozumienia tego, co ma do powiedzenia, na czytelnika, druga — zrobić maksymalny wysiłek, aby tak wyłożyć swoje poglądy, żeby czytelnik mógł w sposób pełny i jednoznaczny je sobie przyswoić. Zawsze byłem zwolennikiem tej drugiej metody, której znakomitym wcieleniem był sam profesor Tatarkiewicz. I to



Ryszard Binkowski



Dariusz Dorożyński



Teresa Jerzykowska



Janusz Kozłowski



Roman Kubiak



Andrzej Makowiecki

Bruderschaft

Wspominając początki mojego romanu z „Odgłosami” — do małżeństwa doszło wiele lat później — mógłbym przytoczyć sporo zabawnych i niebanalnych zdarzeń, w których uczestniczyłem lub których byłem świadkiem. Ograniczę się jednak do jednego, mającego dla mnie, próbującego dziennikarstwa, istotne znaczenie.

Pod koniec lat sześćdziesiątych ówczesny kierownik literacki „Odgłosów” Jan Koprowski zaproponował mi współpracę. Przychodziłem więc do redakcji, co tam przynosiłem, co pan Jan czytał z życzliwym uśmiechem — ktoś nie zna uśmiechu Jana Koprowskiego! — i ze słowami: — ależ to genialne! — wyrzucał rzecz do kosza lub też rzucał waseł, poważniał i mówił: — dobrze, puszczę to.

Przychodziła też do redakcji młodzieżka i śliczna — obiekt westchnień i umizgów męskiej połowy zespołu „Odgłosów” — Bogda Madej.

Byliśmy z Bogdą „wolnymi strzelcami”, mimo to w redakcji traktowano nas życzliwie, a nawet przyjaźnie. Były to czasy, kiedy postawienie koniaku komuś z bonzów redakcyjnych, uważałem za wielkie dla siebie wyróżnienie i honor. Jeśli redaktor wyrażał chęć wypicia na mój koszt paru kieliszków „Pliski”, można było domniemywać, że mnie lubi i moje teksty nie będą w nim wywoływały odrazy i nlechci.

I oto któregoś dnia, zastępca redaktora naczelnego Włodzisław Stokowski zaproponował mi i Bogdzie byśmy popołudnie spędzili w kawiarni Teatru

Wielkiego. To był już szczyt szczytów, zdarzenie, o którym nie śniłem nawet w najbardziej odważnych snach. Było lato, upał, a my szliśmy w słonecznym skwarze pieszko na plac Dąbrowskiego.

W kawiarni — na nasz koszt oczywiście — zamówiliśmy koniaki i kawę. Włodzisław Stokowski siedział wyprostowany, sztywny i surowo spoglądał na nas przez okulary.

— Proponuję bruderschaft! — powiedział nagle.

O mało nie zemdlałem. Bogda też robiła wrażenie sparaliżowanej.

Wypiliśmy zachowując przyjęty przy tego rodzaju okazjach ceremoniał: stojąc, ręce skrzyżowane, haust do dna, całowanie się.

Teraz rozmowa potoczyła się zważając, choć nadal czułem wielkie skrepowanie. W pewnym momencie musiałem popełnić jakieś faux pas, bo Włodzisław spojrzął na nas surowo i zadecydował:

— Jesteście gówniarze, konieć z fraternizacją, pijemy panszaft!

Zamówiliśmy — oczywiście na nasz z Bogdą koszt — nową kolejkę. Znow wstawanie, krzyżowanie rąk, picie do dna, całunki.

— Panie Włodzisławie — mówi Bogda Madej. — Głosek pochodzi ze Wschodu, tam, pan wcie, inne są obyczaje... Niech mu pan przebaczy.

Stokowski siedział z kamienną twarzą. Milczy.

Zamawiamy kolejne koniaki i kawę.

— No, dobrze — mówi. —



Tym razem ustąpię, bo mam miękkie serce i was lubię. Pijemy bruderschaft.

Dziś, po latach, trudno mi dokładnie ustalić ile było wówczas „panszaftów” i „bruderschaftów”. Faktem jednak jest, że z Włodzisławem Stokowskim po dziś dzień jesteśmy w bardzo przyjacielskich stosunkach i przez cały długi okres, kiedy wraz z Bogdą byliśmy już etatowymi pracownikami „Odgłosów” nigdy nie zdarzyła się sytuacja, w której by Włodek nakazywał nam wypicie z nim „panszaftu”. A okazji do picia nie brakowało.

A może mu wcale nie chodziło o mnie? Może chciał z Bogdą w nieskończoność pić owe „bruderschafty” i „panszafty”?

EUGENIUSZ IWANICKI

Wbrew prawu Parkinsona

W całej prasie krajowej, a zwłaszcza w tygodnikach, obserwujemy wielki ferment umysłowy. Podejmuje się dyskusje w sprawach dotychczas starych, przemierzanych, sięga po tematy, których dotychczas nikt nie dostrzegał. Ten, jakże ożywczy nurt, nie ominął naszych „Odgłosów”. Łamy pisma nabrały nowych rumieńców, zyskały na atrakcyjności, zdobyły wielu nowych czytelników i zdobywają ich nadal, nakład rośnie. Można by rzec, że w odniesieniu do „Odgłosów”, zawieszono uległo działanie jednego z praw słynnego Parkinsona.

„W organizmie bardzo aktywnym — pisał Parkinson — zwłaszcza bezpośrednio po jego powstaniu, wszyscy są bardzo dynamiczni, pełni inicjatyw, nikt nie ma czasu myśleć o ozdobach. Największe dzieła dokonane zostały w pomieszczeniach przypadkowych, dopiero potem, kiedy pierwszy zapór minął, ludzie zaczynają rozglądać się dookoła siebie”. Inaczej mówiąc, kiedy jakieś biuro, wydawnictwo, redakcja czy urząd po wielu latach tułania się po oficynach, barakach, prowizorycznych pawilonach, doczeka się komfortowego lokalu, wyposażonego we wszelkie nowoczesne udogodnienia, zapewniające optymalne warunki pracy, można sądzić, że dni tej instytucji są policzone.

Ten paradoks sprawdził się na naszych oczach już nie raz. Z „Odgłosami” nie sprząda się absolutnie, mamy tu raczej do czynienia z odwróceniem groteskowego prawa Parkinsona. Mogę to powiedzieć śmiało, bo przeżyłem już trzy różne lokale redakcyjne tygodnika, a także czterech naczelników redakcyjnych i bardzo wiele zmian w składzie redakcji.

Pierwszy mój felieton, podpisany pseudonimem „Cwiek” znalazł się w rubryce pod tytułem „Lewym okiem” w „Odgłosach” z 19 lipca 1964 roku. Od tej pory pojawia się uparcie aż do dziś co tydzień, z wielkimi przerwami na stany chorobowe i wojenne. A więc zacząłem w kolejnym numerze 333. pisma. Przedtem współpracowałem z nim sporadycznie, tak jak wcześniej z poprzedniczką „Odgłosów” — „Kroniką”, a jeszcze wcześniej — z „Łodzią Literacką”. Zawarłem znajomości z tym pierwszym tygodnikiem kulturalnym lat powojennych nie okazało się zbyt fortunne. Złożyłem w redakcji artykuł pt.

„Przydać Łodzi poezji i uroku” — artykuł ten nie ukazał się w całości, natomiast jego fragment znalazł się na łamach „Łodzi Literackiej” jako część artykułu podpisanego przez kogoś zupełnie innego, o znanym wówczas nazwisku.

Z „Odgłosami” nie zdarzyło się nigdy nic podobnego, zdarzały się natomiast wypadki niedopuszczenia felietonu do druku. Dowiadywałem się o tym zawsze ex post i przeważnie domyślałem się motywów, chociaż nigdy ich nie rozumiałem. Kiedy przed wielu laty ukazała się na rynku znakomita powieść Knuta Hamsuna — „Głód”, zapytywałem naiwnie: dlaczegoż to można wydać książkę autora, znanego z jawnej i zagorzałej kolaboracji z Hitlerem, manifestującego radość z powodu podbicia dzikiej Polski przez kulturalne, dzielne pułki hitlerowców, a nie można wydać pięknych wierszy Lechonia, Wierzyńskiego, Witkacina i innych cennych dzieł, powstałych na emigracji, których autorzy z żadnym wrogiem ojczyzny nie kolaborowali?

Kiedy indziej, w jakimś innym felietonie, zaczytywałem Antoniego Słonimskiego, który akurat znajdował się na „liście proskrypcyjnej” i wspomnieć o nim znaczyło tyle, co zachować się nieprzyzwoicie przy obiedzie. Jeszcze innym razem wspominałem starożytny obyczaj karania śmiercią posłów, którzy przynosili ze sobą wieści. Kiedy pisałem te słowa, cały nasz kraj pogrążony był po uszy w sukcesie i ktoś, kto przynosił niezbyt entuzjastyczne sprawozdanie lub jeszcze gorzej — wiadomości o porażkach i błędach, nie byłby wprawdzie skazywany na śmierć, ale na wszelkie sposoby odbierano mu głos. Dzisiaj te karykaturalne błędy w polityce informacyjnej są już bądź naprawione, bądź w stadium naprawy. Mam nadzieję, że mój wnuk będzie miał już do czynienia z zupełnie innymi błędami i wypaczeniami, bo — że nie napotka na żadne, nie wiem.

Czasem, choć rzadko, ktoś poczuł się urażony jakimś moim spostrzeżeniem czy komentarzem. Wieloletnia praktyka trochę mnie na te sprawy nauczyła, zawsze zresztą pamiętałem świetną maksymę przedwojennego satyryka i bajkopisarza Juliana Eljzondy: „Choć obrazić nikogo nigdy nie samierzam,



gniewają się nożyczki, kiedy w słót uderzam”.

Pamiętam mój pierwszy z życia felieton, gdy miałem 18 lat, opublikowany w młodzieżowym piśmie „Młody Łódź”, którego nawet byłem redaktorem. Felieton ów nosił tytuł „Kultura na pokaz”, a w drukarni wiadano tuż obok karykaturę jednego z naszych profesorów, wytwornego łacinnika. Następnego dnia po ukazaniu się numeru zostałem wezwany do dyrektora na trudną rozmowę: — Czy uważasz, że pan profesor taki a taki jest chodzącą ilustracją „kultury na pokaz”?

Od czasu do czasu, oprócz stałych, cotygodniowych felietonów, oferowałem „Odgłosom” inne wyroby mego rekordera, przeróżnego kalibru: artykuły wspomnieniowe, historyczne i inne, humoreski, drobniaki rymowane, a nawet krótką powieść satyryczną w odcinkach. Prawie wszystkie te rzeczy, po koniecznym dla zdrowia odczekaniu, ukazywały się drukiem, czasem nawet bez skrótów.

Tak więc przywiązałem się do Tygodnika Społeczno-Kulturalnego „Odgłosy”, nie tylko jako współpracownik, ale także czytelnik. Mam nadzieję, że i w jednej, i w drugiej roli pozostanę już dożywotnio. W każdym razie zaczynam przysyłać już teraz przygotowywać materiał do zasadniczego, sądnego artykułu, przeznaczanego na następny jubileusz „Odgłosów”.

WŁODZISŁAW KRZEMIŃSKI

Jak nie zostałem poetą

Od dnia, w którym po raz pierwszy przystąpiłem do redakcji „Odgłosów”, minęło już tyle lat, iż bez żadnej stylizacji mogę rozpocząć to sentymentalne wspomnienie słowami: dawno, dawno temu...

Zatem, dawno, dawno temu, jak każdy młody i zakochany polonista zacząłem pisać wiersze. Najpierw była to liryka pełna intymnych uniesień przeznaczona wyłącznie dla prześlizgniętej brunetki o zielonych oczach. Potem odważyłem się wystąpić wraz z podobnymi mi debiutantami na wieczorze poetyckim. Ponieważ organizatorzy zapłacili mi dwieście złotych za te westchnienia do Ewy pomyślałem sobie, iż warto teraz zadbać o publikację. A gdzie może opublikować swoje genialne teksty dobrze zapowiadający się poeta łódzki? Oczywiście w „Odgłosach”.

W redakcji przyjął mnie i paru jeszcze marzycieli o poetyckich laurach sam Jan Koprowski. Z nieodłącznym uśmiechem pod krzaczastym wąsem słuchał nas długo i życzliwie. A potem zapytał ni stąd ni zowąd:

— A co panowie sądzą o twórczości Mariana Piechala?

Piechał! Jeden przez drugiego oburzaliśmy się na tę poezję. A to, że staroswiecka, że tradycyjna, że artystyczne dno (młodość zawsze jest burzliwa i futurystyczna). Zapytał się pan Jan:

— No, bo właśnie w tym roku chciliśmy uczcić jubileusz autora „Garści popiołu” — sześćdziesięciolecie urodzin i czterdziestolecie pracy literackiej. Pomyślałem sobie, że może któryś z panów zechciałby napisać o Piechalu wkrótce esej...

Choć marzyliśmy o jakiegokolwiek publikacji, nikomu z nas



nie drgnęła powieka: o Piechalu nigdy!

Na pożegnanie i na odczepnego Jan Koprowski obdarzył nas jakimś książkami, które akurat leżały na biurku i poprosił o krótkie recenzje. O wierszach już więcej nie było mowy. Mnie przypadła powieść dla licealistek Haliny Snopkiewicz pod tytułem „Paladyni”. — Innym też dzieła podobnego rodzaju. Recenzje napisaliśmy i potem przez parę tygodni łapczywie wertowaliśmy każdy nowy numer „Odgłosów”. Wreszcie recenzje znalazłyśmy. Ale znalazłyśmy także — ku naszemu ogromnemu zdziwieniu — bardzo pochlebną esej o poezji Mariana Piechala. Jeden z nas dał się namówić. A kto? Ciekawym polecam przejrzenie rocznika „Odgłosów” z roku 1965.

Znowu minęło parę miesięcy a „Odgłosy” śniły się nam po nocach, bo przecież wciąż pisaliśmy wiersze. I to nawet lep-

sze, bo nasze Laury przestały odpowiadać na listy, a my li-rycznie cierpieliśmy. Więc znów do redakcji. Tym razem przy-jął nas sam Redaktor Naczelny, czyli Wacław Billiński. Ten w przeciwieństwie do Jana Koprowskiego nie dopuścił nas do głosu i sam wygłosił dość jednoznaczne oświadczenie.

— Poetów to my mamy na pęczki. Widzicie te szafy, wszystkie wypełnione są od góry do dołu wierszami łódzkich poetów. Nam, to jest redakcji, chodzi o reportaż. Dobry, odważny i z literackim zabiegiem. Jeśli będziecie przynosić takie teksty, wydrukuję każdy. Rozumiemy się?

Reportaż! Łatwo powiedzieć. Nawet jeśli napisałem o tym, że studenci są biedni i mają za niskie stypendia. Nie muszę do-dawać, że nigdy się nie ukazał. Żeby chociaż recenzje. A tu reportaż. Przecież nie obcieliśmy być dziennikarzami. Na nas czekała Wielka Literatura!

Czas płynął. Przestaliśmy pi-sać wiersze. Pożenił się i zaczęliśmy nauczyć dzieci. Pro-za zaczęła górować nad poezją. Ale „Odgłosy” czytaliśmy nadal. Wybrzydaliśmy oczywiście i krytykowaliśmy na potęgę:

— Widziałeś co oni tam wypisują?! Zgroza! A to wiersze!!

Łatwiej opowiadać anegdoty sprzed lat. Te z czasów, kiedy podjąłem stałą współpracę z „Odgłosami”, a potem zacząłem etatowo urzędowanie w dziale literackim muszę się u-cukrować i uleżeć. Przypadnie na nie czas podczas fety pięćdzie-sięciolecia łódzkiego tygodnika.

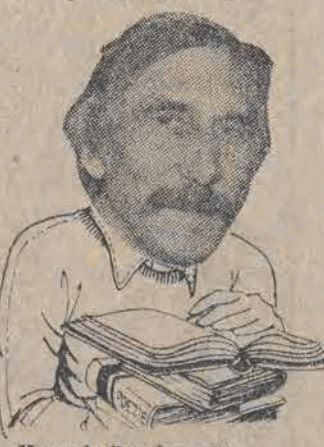
W każdym razie ku mojemu żalowi, który do dziś dnia mrozi samopoczucie, nigdy nie udało mi się opubli-kować w „Odgłosach” żadnego z wierszy mego autorstwa. Zresztą gdzie ich teraz szukać?

I tak właśnie nie zostałem dobrym łódzkim poetą.

GRZEGORZ GAZDA



Grażyna Olechnowicz



Henryk Pustkowski



Janusz Szymański-Glanc



Patryk Tomaszewski



Jolanta Wrońska



Marian Zdrojewski

Rys. Janusz Szymański-Glanc
Foto: Grzegorz Galasiński

ze str. 8

jest cała sztuka: ciemne rozjaśnianie. A u nas jest wielka tradycja, aby pisać skomplikowanie, zaciemniać jasność.

— Pamiętam, że pan bardzo łepił wszelki bełkot.

— Do dziś to czynię, choć nie zawsze z powodzeniem. Właśnie, wśród pewnej części młodych piszących panuje przekonanie, że jeśli on napisze coś prosto i zrozumiale, to jest to nie niewarte. Był w Łodzi aktor Stanisław Lapiński, zwany potocznie „Lapa”. Otóż kiedyś powiedział on do mnie rzecz kapitalną: Panie, coś niedobrze z moją głową; czytam to, co pan pisze i wszystko rozumiem! Był to dla mnie największy komplement.

— Niewątpliwie pańska zasługa jest także i to, że przyciągnął pan do „Odgłosów” sporą grupę młodych, która została albo w dziennikarstwie, albo sprawdziła się w literaturze.

— Uważam, że każda redakcja winna grupować dużo ludzi. Prowadzić coś w rodzaju, używając terminologii dziewiętnastowiecznej, salonu literackiego. Jak pan zapewne sobie przypomniał, w owym czasie w redakcji był ożywiony ruch. Zjawiali się nawet ludzie, którzy nie pisali, ale czuli potrzebę dyskusji, wymiany myśli. To bardzo ważne.

Należy także wspomnieć i o tym, że za mojej kadencji, jako redaktora naczelnego, wielu pisarzy zaczęło zamieszczać swoje teksty w „Odgłosach”, czego nie czyniło przedtem.

— Sądzę, że sprawiła to pańska osobowość, pański optymizm i życzliwość dla ludzi.

— Przyznam się, że zależało mi na ściąganiu pisarzy, bowiem łódzkie środowisko literackie narzekało na zły stosunek do prasy, że się ich pomija, nie dostrzega ich dorobku. Uznawałem te zarzuty i żale i starałem się dać pisarzom satysfakcję.

— Mimo to nie był pan w swoich poczynaniach redaktorskich rewolucjonistą.

— Nie byłem i nie jestem. Uważam, że w tych sprawach trzeba eksperymentować bardzo rozważnie. Gwałtowne zmiany w tygodnikach nie wychodzą na dobre. Ludzie się przyzwyczajają do tytułu, do pewnych rubryk. Ja bardzo dużo czytałem prasy zagranicznej. Kiedy biorę do ręki najstarszą gazetę „Neue Zürcher Zeitung” ukazującą się w Zurychu gdzieś od 200 lat, bo ja wiem, że zawsze na stronie 27 jest dział literacki.

— Czy to jest recepta dla „Odgłosów”?

— Nie wiem, ale po części dobrze byłoby przestrzegać sprawdzonych metod. Dzisiejsze „Odgłosy” mają też swoje stałe rubryki i dobrze byłoby, aby tak zostało ze względu na Czytelnika. On nie lubi, gdy mu się burzy ustalony obraz.

— Za czasów pańskiej kadencji na łamach „Odgłosów” pojawiły się nazwiska ludzi sławnych i wielkich.

— Przecież zanim zostałem naczelnym „Odgłosów”, byłem redaktorem naczelnym „Kroniki”, która ukazywała się niecałe trzy lata. Nie wiem, czy pan pamięta, ale na jej łamach pisali wspaniali artyści: Tadeusz Kotarbiński, Jan Szczepański, Henryk Katz. Później te ich artykuły zostały wydane jako oddzielne książki w tak zwanej „Bibliotece”. „Po prostu”. Te dobre tradycje pragnąłem kontynuować w „Odgłosach” i częściowo mi się to udawało. Zaczął pisywać Andrzej F. Grabski, profesor Henryk Anders, sporo plastyków...

— Nie odpowiedział pan jednak na moje pierwsze pytanie: co dała panu praca w „Odgłosach”?

— Doświadczenia nabyte w „Odgłosach” bardzo mi się przydały w pracy w redakcji „Literatury”, „Tu i Teraz”, w „Kulturze”.

— Podkreśla pan swoje związki z Łodzią, a przecież pan ją opuścił.

— Dobrze, że pan o tym wspomina. Muszę raz jeszcze skorygować krążące na ten temat opinie. Sam nigdy nie myślałem o porzuceniu Łodzi. Ale, jak pan pamięta, w 1972 roku odbył się w Łodzi walny zjazd Związku Literatów Polskich. Zostałem na tym zjeździe wybrany na przewodniczącego komisji zagranicznej Zarządu Głównego. Nie mogłem sterować tą komisją mieszkając w Łodzi. Wobec tego władze związkowe postanowiły przenieść mnie do Warszawy. Jednocześnie w tym samym czasie powstała „Literatura” i Jerzy Putrament zdecydował, że zostanie jego zastępcą. Takie były fakty. Ale sam nigdy nie zabiegalem o to.

— Jestem przekonany, że pozostał w pańskim sercu wielki sentyment do miasta włókniarzy.

— Mam ten sentyment z bardzo licznych powodów. Po pierwsze: w Łodzi wychowałem się mol trzej synowie. Jeden z nich, jak pan wie, zmarł i jest pochowany w Łodzi na cmentarzu żarzewskim. Na okres łódzki przypadły moje najbardziej aktywne lata: byłem redaktorem „Kroniki”, „Odgłosów”, kierownikiem literackim w Teatrze Nowym, czyli jak się potocznie wówczas mówiło „u Dejmkę”, pisałem do prasy codziennej, napisałem i wydałem tam sporo książek. Będąc w Łodzi byłem przedstawicielem „Przeglądu Kulturalnego” na Łódź. Dlatego chętnie wracam pamięcią do tych lat, a fizycznie wracam do Łodzi, gdyż tam mieszka jeden z moich synów, który też ma syna, sześćcioletniego Mateusza. A więc przyjeżdżam do syna i wnuka.

— Panie Janie, jak pan ocenia dzisiejsze „Odgłosy”?

— Czytam je nie tylko zresztą ze względu na sentyment. Oczywiście nie ma takiego pisma, do którego byłoby się entuzjastycznie nastawionym jako do całości. Podobna mi się w „Odgłosach”, szybka reakcja na wydarzenia teatralne, literackie. Podobają mi się reportaże. W ogóle uważam, że pismo współczesne stoi reportażem, reportażem odkrywczym, ostrym, demaskatorskim.

— Daniel Passent w rozmowie ze mną stwierdził, że reportaż w Polsce umarł śmiercią naturalną.

— A czy powiedział dlaczego? Otóż reportaż wymaga czasu i środków. W reportażu trzeba zainwestować. Jeśli ma być dobry reportaż, trzeba by ktoś pojechał w Polskę na dwa tygodnie. A to kosztuje. Nie zawsze pismo chce i nie zawsze może sobie na to pozwolić. A dzisiaj możliwości opisania jakichś drastycznych rzeczy są większe niż kiedykolwiek. Tak więc nie w tym leży przyczyna, że nie można przekraczać pewnych barier, ale w tym, że reportaż staje się za drogi, za kosztowny.

— Nie tak dawno obchodził pan swoje 70 urodziny, co telewizja przekazała na całą Polskę. Fakt ten nie tylko skłania do złożenia panu gratulacji i wyrazów wszelkiej pomyślności na kolejne 70 lat, ale upoważnia też do zadania następującego pytania: co by pan — biorąc pod uwagę wieloletnie pańskie doświadczenie dziennikarskie — zmienił w „Odgłosach”?

— Uważam, że „Odgłosy” są na dobrej drodze i mają dobry program. Jeśli śmiałybym coś powiedzieć, to chyba tylko to, aby te materiały były pisane z większym ogniem, bardziej dowcipnie, bardziej komunikatywnie. Niestety — stwierdzam to z żalem — na nasze łamy wkrada się pseudosentyzizm.

— A nie wie pan, dlaczego byli naczelnymi redaktorzy „Odgłosów” nie chcą z tym pismem współpracować?

— Nie wiem. Ja wyznaję starochińską zasadę: gdzie cię proszą — przychodź rzadko, gdzie nie proszą — nie przychodź wcale. Jak mnie kiedyś Lucjusz Włodkowski poprosił o napisanie recenzji — napisałem. A jak mnie nie prosicie, to sam się nie będę pchał.

— Na zakończenie naszej rozmowy zadam dość stereotypowe pytanie: czego pan życzy dzisiejszym „Odgłosom”?

— Oczywiście, aby wasze pismo pozyskiwało coraz liczniejsze grono czytelników, żeby ostatecznie przełamało opłotki regionalizmu, choć w tej chwili jest ono czytane w całej Polsce, i aby jednocześnie nie traciło związku ze środowiskiem pisarskim Łodzi.

— Życzę panu długich lat w zdrowiu i nowych książek, dziękuję za rozmowę.

Roztopiły się te lata...

Właśnie przygotowywałem się do matury, kiedy w kioskach „Ruchu” pojawiła się swego rodzaju fotografia „Odgłosów” czyli „Łódź Literacka”. Wkrótce po tym na rynku czasopiśmienniczym Łodzi znalazł się dwutygodnik „Kronika”. Wtedy byłem już studentem polonistyki, tzw. początkującym poetą i nawet udało mi się opublikować w „Kronice” parę wierszy.

„Kronice” jednak zmarło się po niespełna trzech latach, bo choć ją wszyscy bardzo chwali- li, to mało kto chciał ją kupować. Wiosną 1958 roku zaczęły się ukazywać „Odgłosy”. Dziś mało kto pamięta, że początkowo było to coś na kształt niedzielnego magazynu gazety codziennej. W pierwszych numerach był nawet... komiks pt. „Pustynne szczyty”, czy coś w tym rodzaju, w każdym razie główną troską redakcji było: skokietować Czytelnika.

W zespole było początkowo dwóch pisarzy — Wiesław Jazdżyński i Tadeusz Papier oraz dwóch dziennikarzy — Zbigniew Chyliński i Zbigniew Nowicki. Po latach pierwszy zrobił karierę jako korespondent zagraniczny polskiej prasy — drugi natomiast po przybraniu pseudonimu „Nienacki” zasłynął najpierw kryminałami typu „Laseczka i tajemnica”, potem serią „Pana Samochodzik”, a wreszcie powieściami „Raz w roku w Skirolawkach”, „Wielki las” oraz „Dagome iudek”.

Wiesław Jazdżyński był szefem tego interesu pod nazwą „Odgłosy”. Jak chłop średniorolny miał dwie dusze: chciał robić gazetę dla Czytelnika, pomny doświadczeń „Kroniki” — a jednocześnie chciał robić pismo względnie ambitne. Trochę się ze sobą te dwie rzeczy kłóciły. Tak więc na jednej kolumnie prof. Henryk Anders prowadził „wykład” o sztuce współczesnej — a na sąsiedniej czytaliśmy sensacyjną powieść „Białego kapitana”. Mariaż jednak po latach okazał się nie najgorszy, bowiem ów eklektyzm tematów i poziomu do dziś nieźle „Odgłosom” służy.



pismo będzie się bez trudu sprzedawać w 70 tysiącach egzemplarzy?

Jazdżyński przyciągnął do współpracy „młodych zdolnych”. Nie wiem jak ze zdolnościami, ale trzydziści lat temu młody byłem bez wątpienia. Wkrótce więc powstała w „Odgłosach” nieformalna (bez etatów i ryczałtów), silna grupa w składzie: Marek Wawrzekiewicz, Włodzisław Łuszczkiewicz, Jerzy Dębski, Marcell Kazimierski i piszący te słowa. Dębski i Kazimierski zrobili solidne kariery inżynierskie i po skończeniu politechniki przestali się bawić w pisanie. Trochę szkoda, bo były to niezłe pióra i bardzo inteligentne umysły. Myślę zresztą, że jeśli dziś wyróżniają się oni w swoich zawodach, to także dlatego, że przeszli ten osobliwy staż w „Odgłosach”.

Wiesław Jazdżyński dał nam do dyspozycji jedną kolumnę i jeden pokój. Podkreślam ów pokój, bo wówczas „Odgłosy” mieściły się w trzech pokojach z łazienką. Potem łazienkę przebudowano na archiwum. Na naszej kolumnie robiliśmy co dusza zapragnie i zagadki literackie, parodie, minifeli-tony, fraszki, notki polemiczne... A ponieważ kolumna to było dla nas za mało, bezczelnie wchodziliśmy do całego numeru. Jeździliśmy na reportaże, pisaliśmy recenzje i felietony literackie, publicystykę kulturalną — słowem pisaliśmy dużo i chętnie w zamian za co pozwalano nam od czasu do

czasu na publikację naszych wierszy, o których Jazdżyński niezmiennie powiadał, że ich kompletnie nie rozumie, ale jak tu odmówić tak sympatycznym chłopakom. Oczywiście Jazdżyński rozumiał doskonale nasze wiersze — a co ważniejsze rozumiał nas młodych.

Nasz środkowy pokój w redakcji na trzecim piętrze przy Piotrkowskiej 96 wykleiliśmy do sufitu kolorowymi plakatami, na których każdy, komu przyszła na to ochota, wypisywał fraszki i złośliwości pod adresem współkolegów i o zgrozo! — pod adresem łódzkich pisarzy. Kiedy Jan Koprowski opublikował swoją książkę pt. „Strumień życia”, na plakacie pojawiła się fraszka:

„Płytki życia Twego strumień Rumień się więc Janie, rumień!”

Na szczęście Jan Koprowski ma wyjątkowe poczucie humoru, więc śmiał się z tego najgłośniejsze, a po latach, kiedy został naczelnym „Odgłosów” nasza współpraca układała się znakomicie. Mogę zresztą powiedzieć, że to on wykreał mnie na felietonistę, choć pierwszą stałą rubrykę „dekawostek kulturalnych” dostałem od Jazdżyńskiego, a drugi stały kącik „wydarzeń kulturalnych” od Wacława Billińskiego, który objął redakcję po Jazdżyńskim.

Nie chcę, żeby ta krótka notka wspomnieniowa zamieniła się w „listę lokatorów” — przez „Odgłosy” przewinęło się ponad pół setki etatowych dziennikarzy — z konieczności więc pominię większość nazwisk. Dodam tylko, że stosunkowo wcześnie weszli na stałe do hierarchii pisma: Brycht, Makowiecki, Frejdlach, Włodkowski... Były to piękne czasy, bo my byliśmy „piękni i młodzi” — nie dęczyły nas nie-wydolności kręcenia, anginy pectoris, fobie i nałogi. I choć później różnie bywało — jak to w środowisku twórczym — nie potrafię do tamtych czasów przyłożyć innej miary jak tylko tę sentymentalną. Połowę mego zawodowego życia spędziłem w pokojach „Odgłosów” i na łamach „Odgłosów”. Kiedy dziś usłuchałem siebie, że to właśnie minęło 30 lat — robi mi się gorzko i smutno. Roztopiły się te lata czy stwardniały w ołów czelonek? Nie wiem.

JERZY WILMAŃSKI

Jerzy Wawrzak



— W trzydziestoletniej historii „Odgłosów” twoja kadencja jako redaktora naczelnego była najdłuższa...

— Tak, byłem naczelnym przez 10 lat, od 1972 do 1982 roku.

— Przypadło ci kierować redakcją w najbardziej burzliwych latach naszej powojennej historii, myślę o latach 1980—1981.

— Swoją dziesięcioletnią kadencję podzieliłbym na dwa okresy: na 1972—1980 oraz na pamiętne prawie 500 dni. Ręczyście były to jakby dwie różne epoki. Osobiście jestem z tego zadowolony, bo przeżyłem różne, prawie skrajne doświadczenia.

— I musiałeś w ciągu tych 500 dni zdać ważny egzamin.

— Wszyscy zdawaliśmy wówczas egzamin. Powiedziałbym tak: dla wielu osób wydarzenia sierpniowe roku 1980 były ogromnym zaskoczeniem, szokiem. Dla mnie i dla zespołu redakcyjnego także, chociaż mniejszym, bo byliśmy lepiej poinformowani, więcej wiedzieliśmy, lepiej zrozumieliśmy co stało się z partią, choć na ogół nie mogliśmy o tym pisać. Byliśmy więc niejako psychicznie przygotowani na nadejście zmian. Najlepszy dowód na to nasz decydujący krytykował nas w latach 1978—1980, że przedstawialiśmy rzeczywistość w zbyt ciemnych barwach. Była to przełama, bo owa krytyka była znacznie ograniczona, aczkolwiek utracono się na łamach „Odgłosów” — zwłaszcza w okolicach VIII Zjazdu PZPR — sporo artykułów nie mających nic wspólnego z propagandą sukcesu.

Kiedy dziś patrzę na tamten okres, to myślę, że moja postawa można z perspektywy czasu zrozumieć i obronić. Byliśmy grupą ludzi, która proces odnowy potraktowała bardzo serio. Oczywiście, popełniliśmy też sporo błędów i zwykłych głupstw, ale sytuacja była taka, że często emocje przeważały. Natomiast zakończenie owych 500 dni, co łączy się też z zakończeniem mojej kadencji jako redaktora naczelnego „Odgłosów” było także, jak być musiało.

Nastąpił stan wojenny, weryfikacja zespołu, która dla większości kolegów z redakcji skończyła się dramatycznie. Znaczna grupa młodych, zdolnych, wykształconych ludzi musiała odejść z zawodu. Nad tym bardzo bolałem. Rozumiem tu pewną „historyczną” konieczność takiej operacji, jednak uważam, iż w warunkach łódzkich ta sprawa poszła za daleko. Nie dotyczy to mojej osoby, bo z reguły w przypadkach jakiegось przesilenia szef musi odejść.

— Czy nie wydaje ci się, że „Odgłosy”, które ty redagowałeś, a „Odgłosy” dzisiejsze, to dwa różne pisma?

— Kształt pisma nadaje osobowość jego redaktora naczelnego. Ten fakt jest decydujący. Przecież i Wacław Billiński robił inne pismo, i Jan Koprowski, a jeszcze inne Wiesław Jazdyński. Ja też robiłem inne, co wcale nie oznacza, że lepsze lub gorsze. Także inne robi Lucjusz Włodkowski. Ja byłem pisarzem, Włodkowski jest dziennikarzem i już samo to powoduje różne konsekwencje. Poza tym czasy się zmieniają i wymagają zupełnie innego języka porozumienia z czytelnikami. Czytam obecnie „Odgłosy” z wielkim zaciekawieniem i uznaniem dla szerokiego grona autorów z redakcji i spoza niej, co jest bardzo cenne.

— Jak oceniasz dzisiejsze „Odgłosy”?

— Zostawmy tę ocenę czytelnikom, powiem tylko z pewną zazdrością, że udało nam się to, co mnie nigdy się nie udało. Przy tamtej formule „Odgłosy” były raczej pismem niskonakładowym, natomiast w tej chwili jesteśmy obecni na rynku czytelniczym w regionie, w kraju. Jest to ogromny sukces. A więc cel — jaki zapewne został przez was założony — został osiągnięty. Ludzie was czytają, jesteście potrzebni. A w przeszłości był dla nas ciągle żywy problem: jak osiągnąć 19 tys. nakładu, 22 tysiące itp. To było powodem moich ciągłych frustracji.

— Jesteś pisarzem, najdłużej sprawowałeś funkcję naczelnego „Odgłosów”, uprawiałeś dziennikarstwo, ale jakoś nie kwapiłeś się z pisanem tekstów dla nas. Dlaczego?

— Nie zajmuję się dziennikarstwem. Jestem wydawcą, a przede wszystkim autorem. Przez ostatnie dwa lata pracowałem bardzo intensywnie.

— Prawda jest, iż zostawisz wydawcę przekształcić małą firmę drukującą plakaty w znaczącą firmę wydawniczą, czego ci nigdy nie zapomni środowisko literackie. I nagle odszedłeś z Łodzi...

— Dla mnie jest to rozdział zamknięty, choć bogaty w doświadczenia zawodowe i życiowe. O tyle bym się tu zgodził z tobą, że mieszkając w Łodzi pracowałem na rzecz środowiska pisarskiego. Nie łączę tego tylko z funkcją wydawcy, ale przez kilka kadencji byłem prezesem oddziału Związku Literatów Polskich, dość aktywnym działaczem kulturalnym, pracowałem w zespole filmowym, pełniłem ważne funkcje społeczne. I to także jest już sprawa zamknięta. Ale patrząc z perspektywy nasuwa się czasem taka refleksja: czy było warto? Można było przecież więcej czasu poświęcić na pisanie, na publikowanie własnych książek. Mimo to chyba nie trzeba niczego żałować, bo należało wszystko przeżyć tak, jak się przeżyło. Zresztą nie wyobrażam sobie, że w owych latach mógłbym postępować inaczej niż postępowałem.

— Ale tak naprawdę to czy będąc naczelnym „Odgłosów” czy też dyrektorem łódzkiego oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej zawsze pozostawałeś pisarzem.

— Tak, to prawda. W tej chwili także mam trzy powieści u wydawców: „Gorzką wiek” — saga rodzinna obejmująca sto lat polskiej historii — jest w Wydawnictwie Łódzkim, „Ciche dni” — książka o grudniu 1981 roku — w łódzkim oddziale KAW.

trzecia — to książka napisana na duży, ogólnopolski konkurs, więc niewiele mogę o niej powiedzieć. Zdradzę tylko, że akcja rozgrywa się w latach 1945—1947. Przy tej okazji chciałbym podzielić się z Czytelnikami pewną refleksją: jesteśmy teraz w bardzo trudnym okresie i wydawniczym, i pisarskim. By wyjść z tej kryzysowej sytuacji, muszą zmienić się także pisarze. Nie znaczy to, że należy zrezygnować z ambicji, trzeba jednak znaleźć taką formę wyrazu, poprzez którą trafi się do czytelnika. Prawa rynku zmusza piszących do bardzo ostrej walki o czytelnika. Niektórzy pisarze, tu w Łodzi, jakby wcześniej już to zrozumieli, choćby Wacław Billiński czy Andrzej Makowiecki, którzy łączą ważne sprawy z atrakcyjną, nośną formą. Dziś niestety i przeciętność nie ma żadnych szans.

— Interesuje mnie jeszcze jedna sprawa: otóż mieszkasz w Łodzi, a pracujesz w Warszawie. Czy nie będzie to kolejna ucieczka do stolicy? Tyle uczyniło to przed tobą, że śmiałem podejrzewać, iż wkrótce zmienisz barwy klubowe.

— Myślę, że nie. Niezależnie jak ta moja przygoda warszawska się zakończy, widzę siebie w orbicie łódzkiej. Jestem związany z Łodzią emocjonalnie, wrośłem w to miasto. Zapewniłam cię, że nie trafię na listę kolejnych emigrantów z tego miasta.

— Czy człowiek typu Jerzy Wawrzak, a więc pisarz, edytor, redaktor ma jeszcze jakieś pragnienia, które chciałby zrealizować?

— Można by było mówić raczej o zamierzeniach. Jeśli takie są, to związane z literaturą. Pamiętasz, że moja droga do niej była nietypowa: inżynier, pracownik przemysłu — i nagle pisarz. Moje marzenia idą w kierunku znalezienia jakiegoś ładu w życiu, który pozwoliłby mi być społecznie użytecznym na co dzień, jednocześnie chciałbym więcej czasu poświęcić piśmiennictwu.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Ci, o których Czytelnicy mało wiedzą



W sekretariacie — na górze od lewej: Bogumiła Fastudzin i Czesława Klos, na dole od lewej: Marek Borowski, Katarzyna Bąk i Zofia Gryś.



Korektorki od lewej: Jolanta Sawiuk i Mariola Knaga.



Od lewej: metrampaż Tadeusz Stachowicz i brzojadzista Zdzisław Gonderek.



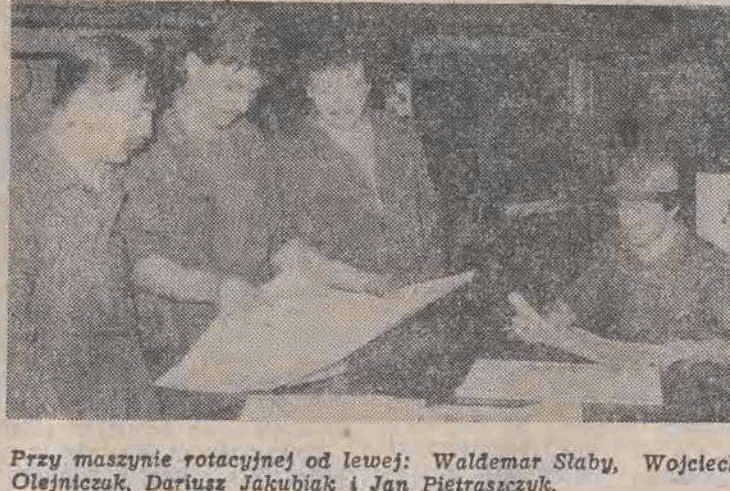
Od lewej: kalandryści Tadeusz Radosiewicz, Tadeusz Stachowicz i redaktor techniczny Janusz Kozłowski.



Przygotowuje płyty w stereotypii Zdzisław Hartman.



W chemigrafii od lewej: kierownik Jan Mróz, Dariusz Gortatowski i Janusz Kozłowski.



Przy maszynie rotacyjnej od lewej: Waldemar Staby, Wojciech Olejniczak, Dariusz Jakubiak i Jan Pietraszczyk.



Sprzedają nas między innymi panowie: R. Jedliński w punkcie sprzedaży 113 na ulicy Różnej 26 i Marek Kołodziejczyk w punkcie sprzedaży 304 na ulicy Lutomierskiej 22.



Uśmiechnął się wtedy, ale był zadowolony z tej charakterystyki: chciał, żeby się go bało. Zofia, łagodna, wrażliwa, dbała o niego, prawie mówiąc, była to największa miłość jego życia. Skłaniała się ku eserom, ale nigdy nie spierała się z nim, swoich poglądów mu nie narzucała, przeciwnie, unikała sporów politycznych, widziała, że wszelkie sprzeczki go drażnią. Jednak ich związek skończył się... Zmarła na gruźlicę.

Pewnie, on nie jest Otrępiem, ani ona Maryna Mniszech. Ale jednak teraz przypuszcza, że pierwsze stymulujące go motywy były wywołane właśnie tymi obrazami, dręczącymi gdzieś w oddalonych zakamarkach mózgu: polska arystokratka i nieznany, niedokończony kapłan, konspirator, a jeszcze nie sprecyzowanymi, ale daleko idącymi planami.

We wrześniu na ementarzu szachowskim chował Chaniara Safaraliewa, robotnika-nafciarza, zabitego przez czarnoskocinów. Odbyła się wielka manifestacja, wyły syreny fabryczne, w konkudce szedł ON, szli Szaumian, Enukidze, Azizbekow, Ordżonikidze, Dżaparidze, Fioletow. ON wygłosił mowę, była też Sonia. A za pół roku ją też pochowano na tym samym ementarzu. Nie było manifestacji, nie wyły syreny fabryczne. Szły za trumną sąsiadki, znajomi Polacy. Opuścili do domu, zasypali ziemią i poszli. A on został, nie chciał wracać z nieznajomymi ludźmi, nie miał o czym z nimi mówić. Został, przysiadł koło świętego pagórka.

Skalisty przylądek Szychowo wchodził daleko w morze, wznosił się nad Bibi-Ejbatem, zastawionym niezliczonymi wieżami wiertniczymi. Nie było widać koło nich robotników, ale komory chłodziły w górę i w dół, pompowały ropę naftową. Wiosna dopiero się zaczynała, ale słońce już mocno grzało, siedział SAM na skalistym przylądku Szychowo, na brzegu Morza Kaspijskiego, patrzył na zatokę, na niezliczone wieże wiertnicze. Pochował Sonię, jedyną kobietę, która cenila go, jego gorzkie nie była wszechogarniająca. Przestąpił wieniec — i batumskie, i kutaiskie — i zesłania do Wschodniej Syberii, i ucieczkę z zesłania, już odeszli jego towarzysze z „Mesami-Dasi“, zginął w więzieniu Kechoweli, umarł Cukukidze. Wszyscy odchodzą i wszyscy odeszli, życie ludzkie jest tylko mgleniem w tym kołowym. Jest tylko DZISIAJ — także mglenie, ale dla rewolucjonisty mglenie prawdziwego życia. Tylko rewolucjonista i tylko władca rozumie małość i nicność ludzkiego życia, ale tylko władca ma prawo oszczędzać siebie. Właścnie życie nie jest ważne, dopóki walczysz o władzę, ale gdy zagarniesz władzę, wtedy życie jest nagrodą dla zwycięzcy. Teraz ON jest zwycięzcą, on potrafi zachować życie, dlatego że potrafi zachować władzę.

Wszyscy rewolucjonisci ryzykują życiem. On też ryzykował, ale był ostrożny. Przyjeżdżał do Baku, szedł do Bałachanach i dalej do miasta pieszko, brzegiem morza, wzdłuż wież wiertniczych. A kiedy się zmęczył, przysiadł na ścieżce i tak samo jak teraz wystawiał twarz do słońca, patrzył w dół na drogę, na wieże, na morze.

Co kieruje rewolucjonistą, co kieruje go na ciernistą drogę? Idea? Idee opanowują wielkie, ale czy wszyscy stają się rewolucjonistami? Miłość do ludzi? Miłość do ludzi — to sprawa magazynów, baptystów i tolstojowców. Nie! Idea jest tylko pretekstem dla rewolucjonisty. Szczegół dla wszystkich, równość i braterstwo, nowe społeczeństwo, socjalizm, komunizm — to hasła, podrywające masy do walki. Rewolucjonista — to charakter, to protest przeciw własnemu poniżeniu, potwierdzenie własnej osobowości. Pięć razy był aresztowany, zesłany, uciekał z zesłania, ukrywał się, nie dojadł, nie dosypiał — w imię czego? Dla chłopów, których nie interesuje oprócz własnego nosa? Dla „proletariatu“, tych robotników? W Baku często nocował w robotniczych barakach Rothschilda na Babilowie, napatrzył się na „klasę robotniczą“. W tamtym bakijskim okresie był już znanym działaczem partyjnym, był liderem bolszewizmu w Baku. Wszelkie próby podania tego w wątpliwość — to niegodziwe próby. Potrafi skończyć z takimi próbami. Stalin wstał z fotela; gdzieś nad głową latała pszczoła, bzyczała i bzyczała nad samym uchem, Stalin oganiął się od niej, odciął, usiadł na stole, popił, do popielniczki, przysiadł ją tomem Kluczewskiego.

— Podłość! — powiedział po gruzińsku — podłość! — znowu sadowiać się w fotelu i wracać do myśli o tamtych czasach, o podłej broszurze Aba Enukidze.

W tej broszurze Enukidze wymyślił sobie nagłe wspomnienie konspiracyjnej drukarni, która istniała w Baku pod pseudonimem „Nina“. Drukarnia podlegała Leninowi, korespondencja szła przez Krupską, drukarnia kierowała Krasin. Enukidze i Kechoweli. Nikt więcej, jak pisze Abel, o niej nie wiedział, zatem nie wiedział i ON Stalin, JEMU, Stalinowi, nawet o niej nie mówiono. Krasina, tego inżyniera-elektryka na służbie u Rothschildów i Mantaszowów, można zrozumieć: Lenin nakazał mu przestrzeganie zasad ścisłej konspiracji. Nie ma do niego pretensji: Krasin dawno umarł. I Kechoweli umarł. I nie ta mała drukarnia zaważyła na losach rewolucji. Tak sprawa przedstawiała się wówczas.

Inaczej sprawa przedstawia się dzisiaj. ON nie potrzebuje laurów bakijskich, tyfliskich, zakaukaskich, JEMU potrzebna jest prawdziwa historia partii, a prawdziwa historia partii jest tylko ta, która służy interesom i autorytetowi jej kierownictwa.

Jeśli ON nie wiedział o istnieniu w Baku, pod samym jego nosem, konspiracyjnej drukarni, to jak można teraz twierdzić, że kierował partią w Rosji? Jeśli ON kierował partią, znaczy, nie mógł nie wiedzieć o istnieniu drukarni. Zaprzeczając temu — to zaprzeczając jego roli jako pierwszego pomocnika Lenina. Czyż nie rozumie tego towarzysz Abel Enukidze? Nie może nie rozumieć. Dlaczego więc wydał broszurę, w której jest czarno na białym, że towarzysz Stalin nie miał żadnego związku z drukarnią „Nina“? Dlaczego tak się spowiadał towarzyszowi Enukidze? Z jakiego powodu nagle zajął się historią? I temu człowiekowi on powierzył Kreml, powierzył swoje życie! Dlaczego w dowództwie Kremla jest tylko starych członków partii? Czy to według takiej zasady należy dobrać ochronę? Jeśli dla członka ochrony też ochrona jest zadaniem po-

litycznym, to nie można mu ufać — zadania polityczne mogą się zmieniać. Nawet na sympatii osobistej nie należy polegać: od sympatii do antypatii jest tylko jeden krok. Członek ochrony powinien być oddany swojemu panu jak pies — oto co znaczy być członkiem ochrony. Takie wie tylko jedno: za najmniejsze wykroczenie, za najbliższe niedopatrzienie straci życie razem ze wszystkimi dobrai i przywilejami. Oto jak powinna być doborana jego ochrona. A towarzysz Enukidze trzyma jako komendanta Kremla Petersona byłego dowódcę pociągu Trockiego, człowieka Trockiego. Zamyśla zrobić przewrót pałacowy? Enukidze jest z nim, wynika to z jego nędznej broszurki, ona go zdemaskowała!

Te podła prowokacja broszur Enukidze roznieść na strzępy. Abel, rzecz jasna, zacznie się zarzekać, płakać, kajać się, a kajać się człowiek — to człowiek politycznie skończony. Czy po tym jeszcze istnieje fizycznie — to już nikogo nie interesuje, prócz rodziny. Rodzina jakoś to przeżyje.

Komu poruczyć napisanie repliki na tę broszurę? Najlepiej komuś ze starych bakijszczyków. Ale kto ze starych bakijszczyków pozostał?

Ordżonikidze w Baku był, pracował w dzelnicy bałachnińskiej na polach naftowych Szamsi Asadulajewa — jako felcer miał gabINET w niewielkim domku na peryferiach Ramanow. ON dobrze pamięta ten domek: dwa pokoje, w jednym Sergio mieszkał, w drugim przyjmował. To było dobre miejsce do spotkań konspiracyjnych, wygodne, a bo to mało ludzi chodziło do felcera. Przeprowadził tam Sergio, pewnie z rok, potem był w Baku przejeżdżając. Wiarygodny świadek, dobry świadek, ale

do opery, siedzi nie w rządowej koi, a na parterze — do tego demokrat! Zawsze chciał wyglądać na inteligenta, w młodości brał udział w studenckich przedstawieniach amatorskich, chociaż uczył się tylko w Szkole Przemysłowej. Gdzieś widział jego młodzieńczą fotografię, czy to u Sergio, czy to u samego Kirowa w domu, jego żona, Markus, jak jej tam, Maria Lwowna, pokazywała: chłopczek w kurcie mundurowej z guzikami, w mundurowej furaczerce ze znaczkiem, na znaczku skrzyżowany młotek i klucz nastawny — emblemat Szkoły Przemysłowej. Ale dla laików wygląda to jak mundur gimnazjalny, a nawet studencki.

A jednak nie chce przyjechać! Wymawiał się chorobą, lekarze rekomendują Minieralnyje Wody. Co ci jest? Zgaga... Kogo zgaga nie męczy, co to w ogóle za choroba — zgaga, przyjeżdżaj, zaraz cię wyleczymy, popracujesz z nami. „Czy to ja się znam na historii...“ — „A my czy się znamy? No ale pracujemy, popracuj z nami!“

Niech tu pomieszka, niech pobędzie przed oczyma, właściwie nigdy nie brwali razem. Przed rewolucją nie stykali się wcale, dwa czy trzy razy zetknęli się podczas wojny domowej. Bliższy kontakt nawiązał, gdy Kirow stanął na czele azerbejdżańskiej organizacji partyjnej, przyjeżdżał do Moskwy na zjazdy partii, na posiedzenia KC, albo po prostu w jakichś sprawach. Sprawy korzystne wrażenie, Ordżonikidze miał o nim dobre zdanie, za granicą nie był, nie z emigrantów, funkcyjny działacz partyjny, nieugięty przeciwnik Trockiego, Zinowiewa, Kamieniewa, Bucharina, chociaż z tym ostatnim nawet podtrzymywał przyjacielskie kontakty. To ON go awansował. Na Dzie-

tydowany, od pierwszego stycznia kartki będą zniesione. Więc o czym myślał? Tak! Myślał wczoraj o rozmowie z ogrodnikiem — Estończykiem Arwonem Iwanowiczem. Na dacie rządowa wzięła Arwona Iwanowicza z sanatorium imienia Woroszyłowa, to człowiek z miejscowych, i jak mu zameldowano, człowiek dokładny, nie sprawdzony, żony z Rosjaną, całe życie mieszka w Soczi, uchodzi za najlepszego ogrodnika. Stalin na Kaukazie nie zetknął się z Estończykami, chociaż wiedział, że na początku wieku z terenów nadbałtyckich przesiedliło się do okręgu suchumskiego kilkuset Estończyków i na wybrzeżu czarnomorskim pojawiły się trzy czy cztery wsie estońskie, Estończycy zajmowali się tym samym, co i tutejsi: ogrodnictwem, sadownictwem, hodowlą, tylko ich było więcej do miejscowego. Jednak o tym, że Estończycy osiedlili się w Soczi, nie wiedział. Arwo Iwanowicz miał na oko pięćdziesiąt lat, przysiadł, o wystających kościach policzkowych, o jasnobrązowych włosach i jasnych oczach, chodził, jak i wszyscy Estończycy, w kamizelce i kurcie, ale spodnie wkładał do czuwiaków na sposób kaukaski. Po rosyjsku mówił z akcentem, nierzadko śmiesznie kalecząc słowa. Wczoraj przycinał kwiaty. Stalin obserwował jego pracę, sam lubił kwiaty. Arwo Iwanowicz coś mamrotał gniewnie i Stalin spytał, z czego jest niezadowolony. Arwo Iwanowicz odrzekł, że jego żonę oszukano na wadze w sklepie i w dodatku jeszcze oszukano przy kasie. Stalin powiedział wieczorem do dowódcy ochrony: żonę Arwona Iwanowicza w sklepie oszukano na wadze i przy kasie. Przekażcie sekretarzowi komitetu miejskiego: winnych surowo ukarać.

Kupiec rosyjski zawsze był oszustem i dzisiejszy sprzedawca takim samym oszustem pozostał. Po wprowadzeniu w życie ustawy z siódnego sierpnia boją się okradać państwo, więc okradają ludność.

Lud to widzi, ale niczego zrobić nie może. Znaczą, ON to powinien zrobić za lud. ON nie chodzi po sklepach, ale dobrze zna potrzeby i krzywdy SWOJEGO ludu. Stalin wstał i z wrandy przeszedł do pokoju. Tam za wielkimi kancelaryjnymi stołami siedział Towstuch, to ON wziął go do Soczi. Pracują tutaj uczeni-historicy przyda im się inteligent Towstuch, zastępca dyrektora IM-L, zna historię i rozumie, jakiej historii potrzebuje teraz partia. Co się tyczy zaś spraw bieżących — w nich też się Towstuch orientuje — przez wiele lat pracował u niego jako sekretarz. W dodatku jest chory na gruźlicę, niech się pogrzeje na słońcu, no proszę, jaki jest mizerny, przgarbiony, pokaszle, patrzy spod oka, lekarze meldowali — długo nie pociągnie. Szkoda, wierny człowiek!

— Przygotujcie projekt uchwały KC — powiedział Stalin — o walce z oszukiwaniem na wadze i mierze klientów... Nie... nabywców... I o oszukiwaniu przy kasie... Raczej, tak: nieprzestrzeganie cen detalicznych w handlu. Trzeba wyszukać fakty, pokazać, że przeczu to trosce partii o masowego nabywcę. Za te fakty wymierzcie karę komisarzowi ludowemu handlu Mikojanowi, przewodniczącemu Centralnemu Związkowi, przewodniczącemu WCRZZ Szwiernikowi — związki zawodowe też powinny pilnować, żeby nie oszukiwano, nie krzywdzono ludzi pracy. Niech Centralny Komitet Wykonawczy wyda rozporządzenie: za oszukiwanie na wadze i przy kasie — dziesięć lat!

— Dobór faktów zajmie pewien czas. — Więc napiszcie po prostu: do KC zgłoszono... Nie! KC dysponuje informacjami o faktach. Tak napiszcie.

Stalin wrócił na werandę i znowu usadowił się w fotelu, wystawiając twarz do słońca, znowu zamyślił się o Kirowie. Nazywają go następcą. A przecież ON jest starszy od Kirowa zaledwie o siedem lat, o jakim następstwie może być mowa? Nie wiadomo, kto wcześniej umrze, ludzie z Kaukazu żyją długo. Znaczą, chodzi o następstwo nie po śmierci, lecz przed śmiercią. Nie doczekają się. Konwent, który posłał na gilotynę Robespierrea, nie jest mu potrzebny. Robespierre popełnił fatalny błąd, zachowawszy Konwent. Napoleon rozgonił Konwent i postąpił słusznie, dlatego Napoleon jest wielkim człowiekiem, a Robespierre, mimo całego swojego okrucieństwa, nie jest nikim więcej, jak gadułą adwokatem.

Jakoś tak podczas jednego z pobytów Kirowa w Moskwie zebrali się u Ordżonikidze. Był ON, Sergio, Kirow, Woroszyłow, Mikojan, Kaganowicz też był, chociaż Sergio nie zapraszał go. Nie znowi! Ale ON powiedział: chodźmy, Łazar, Sergio zaprasza na kolację. Nie pamięta, w związku z czym Kirow opowiadał, że lubił matematykę, fizykę, chemię, skończył Szkołę Przemysłową z odznaczeniem, potem poszedł na kursy przygotowawcze przy Tomskim Instytucie Technologicznym, zamierzał zostać inżynierem. A propos, czy to nie tam poznał Iwana Budagina? Budagin też chodził na te kursy, stąd, zapewne, bierze się ich przyjaźń.

Kirow to człowiek chociaż z niewielkim, ale technicznym wykształceniem, zainteresowany techniką, no to pięknie, niech kieruje przemysłem. I niech porzuciłaby przemysł na maszynowy, chemiczny, budownictwo itd. Trzeba cały czas rozbijać powstałe struktury kadrowe, te kręgi zgranych ludzi, tasować, tasować, tasować. Takim oto przemysłem niech kieruje towarzysz Kirow jako członek Biura Politycznego i sekretarz KC. Niczego uwłaczającego w tym nie ma: na etapie uprzedmiotowienia kraju kierowanie głównym ogniwem gospodarki — przemysłem — nie jest uwłaczające. No a jeśli towarzysz Kirow się nie zgodzi, nie zechce przenieść się do Moskwy, znaczy, chce pozostać niezależny, autonomiczny, chce kontynuować swoją własną linię.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

ANATOLIJ RYBAKOW

(37)

Dzieci Arbatu



wymówi się nawaleń pracy, przy tym jest przyjacielem Aba Enukidze, wątpliwe, żeby stał się świadkiem przeciwko przyjacielowi.

Wyszyński? Skończony lajak. Całe życie był mieniszewikiem, jasne, u mieniszewików można nie robić, tylko zajmować się pustostawami. W 1908 roku na Bałachanach w Domu Ludowym przeprowadził sąd nad bakijskimi zubałkami — Szendrikowymi. Kto wystąpił w ich obronie? Wyszyński. W ciągu wieczoru pięć razy występował, tak się upajał swoją sztuką krasomówczą, demagog, urządził Laiem demagogiem był w Moskwie komendantem milicji arbackiej, porozwieszał na ścianach listy gończe za Leninem, i jeszcze swój podpis, krótkim, umieścił: „A. Wyszyński“. Po rewolucji październikowej uzyskał u NIEGO audiencję, kajał się, płakał. Ale ani słowem nie napomknął, że dzielił się z nim paczkami w więzieniu bałowski, gdzie siedzieli razem w jednej celi. Rozumiał, z kim rozmawia, rozumiał, że takiego przypominania nigdy by mu nie przebaczył, że w zamian za te nędzne paczki dostaje życie. W 1920 roku to ON pomógł mu wstąpić do partii, w 1925 — został rektorem Uniwersytetu Moskiewskiego, w 1931 — prokuratorem RFSSR, teraz Wyszyński jest zastępcą prokuratora generalnego ZSRR, ale nie nadaje się na świadka w sprawach bakijskich — w partii nim gardzą.

Pozostaje Kirow. Przed rewolucją nie był w Baku, ale po rewolucji przez pięć lat był gospodarzem Azerbejdżanu, miał dostęp do wszystkich archiwów, dobrze przestudiował historię bakijskiej organizacji partyjnej, człowiek fachowy, skrupulatny. On mógłby odpowiedzieć na broszurkę Enukidze, on mógłby swoim autorytetem obalić niepotrzebną partii wersję i odwrócić, podtrzymać wersję, umacniając autorytet kierownictwa partyjnego. W pięknych słowach wynosił pod niebiosa towarzysza Stalina — ale słowa to za mało. Dlatego właśnie wezwał Kirowa do Soczi, nie popracuje pod boki, niech pokaże, jaki jest teraz. We krótkie stworzą doborowe towarzystwo: Na przykład wszyscy trzej lubią muzykę: ON po prostu lubi, Zdanow nawet gra na fortepianie, Kirow prawie jest melomanem, chodzi

siatym Zjeździe — zastępca członka KC, na Dwunastym — członek KC, w trzydziestym roku wprowadził do Biura Politycznego. To ON skierował go do Leningradu, temu powierzył złamanie tej wiecznej otępi frondy, buty i opozycji. Nie spełnił pokładanych w nim nadziei. Nie zламаł miasta, ale przeciwnie, stanął na jego czele, zdobył tam popularność, teraz dąży do popularności w całym Związku, w przeciwieństwie to towarzysza Stalina chce wyglądać na umiarkowanego, dobrego, wielkodusznego. Występował na Biurze Politycznym przeciw skazaniu Riutina, potem przeciw skazaniu Smirnowa, Tołmaczowa, Ejmonta. I innych członków Biura pociągnął za sobą. Nawet Molotow i Woroszyłow się wahał. Tylko Łazar był bezwzględnie za rozstrzelaniem.

Wielkoduszność wobec pokonanego jest niebezpieczna: wróg nigdy nie uwierzy w twoją wielkoduszność, będzie uważał to za manewr polityczny i przy pierwszej okazji sam uderzy. Tylko człowiek naiwny może uważać inaczej. Kirow to niebezpieczny idealista, domaga się dóbr materialnych dla klasy robotniczej, nie rozumie, że człowiek, zabezpieczony materialnie, nie jest zdolny do ofiar, do entuzjazmu, staje się filistrem, mieniszewcem. Tylko cierpienie wyzwala najwęższą potęgę ludu, można pokierować nim i na zniszczenie, i na tworzenie. Cierpienie człowieka prowadzi do Boga — na tym głównym postulatcie religii chrześcijańskiej lud wychowywał się przez całe wieki, weszło mu to w krew i w ciało, powinno to być wykorzystane także przez nas. Socjalizm — to ziemię raj, bardziej pociągający niż mityczny raj w niebiosach, chociaż aby do niego dojść, także należy przejść przez cierpienie. Ale lud, oczywiście, powinien być przekonany, że cierpienie jego są przejściowe, służą osiągnięciu wielkiego celu, najwyższe władze znają jego potrzeby, troszczą się o niego, bronią go przed biurokratami, jakiegokolwiek zajmowałby stanowiska. Władza najwyższa jest WSZECHWIEDZĄCA, WSZECHWŁADNA i WSZECHMOCĄCA.

O czym myślał wczoraj w swiętku z tym? O zaopatrzeniu ludności? O zlikwidowaniu kartki żywnościowej? Ale ten problem jest już ude-

Zadacie krwi Bucharina? Wiedziecie, że nie damy wam jego krwi — powiedział Józef Stalin w końcowym przemówieniu na Zjeździe WKP(b) w 1928 roku.

— Wypijmy towarzysze, zdrowie Nikołaja Bucharina! Wszyscy go znamy i kochamy, a gdyby ktoś chciał wypominać stare, to niech mu język odpadnie!

— tak toast wygłosił Józef Stalin na bankiecie w r. 1935 z okazji ukończenia akademii wojskowych przez kolejną grupę absolwentów.

Latem 1915 r. Nikołaj Bucharin przebywał w Berlinie. Delegowano go tam dla przygotowania dokumentów związanych z układem pokojowym, jaki miał być zawarty w Brześciu. W Berlinie usłyszał o nadzwyczajnej wróżce przepowiadającej przyszłość. Z ciekawości, razem z G. Sokolnikowem, odwiedził ją.

— Zostanie pan stracony w swoim kraju — powiedziała wróżka.

Nikołaj Bucharin osłupiał.

— Sądzi pani, że władza radziecka upadnie?

— Nie mogę powiedzieć, za jakiej władzy pan zginie, ale na pewno będzie to w Rosji...

Historia kocha paradoksy Józef Stalin przekazuje miłosne wyznania Anny Łariny Nikołajowi Bucharinowi.

Urodziła się w rodzinie rewolucjonistów.

— Gdzie jest mama i tata? — pytała dziadka.

— Twoi rodzice są socjaldemokratami i wolą siedzieć w więzieniu, uciekać przed aresztem za granicę, a nie siedzieć z tobą i warzyć ci kaszę — odpowiadał jej ze złością.

Wspólne życie z rodzicami zaczęło się po rewolucji lutowej, gdy powrócił z emigracji.

— Mama bardzo mi się spodobała — wspomina Anna Łarina — była ładna, zgrabna, miała duże oczy, okolone długimi puszystymi rzęsami. Uznałam, że socjaldemokrata nie są wcale tacy źli.

Spotkanie z ojcem było dramatyczne. Gdy go zobaczyła — przestraszyła się. Łarina chodząc, wyrzucała nogi do przodu, wyma-

Niedawno w ZSRR oficjalnie zrehabilitowano Nikołaja Bucharina. F. Miedwiediew wysłuchał wspomnień Anny Łariny i na łamach tygodnika „Ogoniok” opowiedział o tym, jakim człowiekiem był Nikołaj Bucharin.

Czy można pokochać zadżumionego?

chując przy tym nienaturalnie rekami. Ania z przerażenia wzięła pod kanapę, zaczęła płakać i krzyczeć.

— Chce do dziadka!

Mama kijem wygoniła ją spod kanapy i postawiła przed zachwiejanym i wzruszonym ojcem. Do wieczora zdołał jednak zdobyć jej zaufanie i już na całe życie pozostali przyjaciółmi.

— Bucharin znalazł swojego ojca jeszcze z okresu emigracji — wspomina Anna Łarina. — Po raz pierwszy spotkali się we Włoszech w 1913 roku, a od lata 1915 do lata 1916 mieszkali wspólnie w Szwecji. Od roku 1918 do połowy roku 1927 mieszkali w „Metropolu” w Moskwie. Bardzo się smucili, gdy wychodził od nas i coraz częściej sama biegałam do pokoju 205, w którym mieszkali.

Wielokrotnie spotykałam w Nikołaja Stalina. Pewnego razu, a było to w roku 1925, pod wpływem impulsu, napisałam do Bucharina wierszowaną list i, za radą ojca, włożyłam go do koperty, na której on napisał: „Od J. Łarina”. Zdecydowałam, że pójdę, zadzwonię do drzwi, oddam kopertę i od razu ucieknę. Stało się jednak inaczej. Gdy zeszłam po schodach z drugiego piętra na pierwsze, nieoczekiwanie spotkałam Józefa Stalina. Było dla mnie oczywiste, że idzie do Bucharina. Niewiele myśląc, poprosiłam go o przekazanie listu, na co on się zgodził. W ten sposób, przez Stalina (co za złowieszczą ironia losu!) przekazałam Bucharinowi swoje pierwsze, dziecięce wyznania miłości.

W r. 1927, na życzenie Stalina Nikołaj Bucharin przeniósł się na Kreml. Dalej jednak często nas odwiedzał, a bywały okresy, że nieomal codziennie przyjeżdżał na naszą dachkę w Srebrnym Borze. Mama żartowała sobie trochę z naszych uczuć, nie traktując ich poważnie, odciekając milczeniem i nie wtrącając się.

Pierwszą moją reakcją na jego oświadczenie był płacz. Następnego dnia rano ojciec, który tak już wspominałam, nigdy się w nasze stosunki nie wtrącał, nieoczekiwanie zaczął rozmawiać ze mną na ten temat:

— Musisz się dobrze zastanowić — powiedział — nad powagą twojego uczucia. Nikołaj bardzo cie kocha, a to delikatny, emocjonalny człowiek i jeśli twoje uczucie nie jest poważne, powinnaś zerwać, gdyż dla niego może się to źle skończyć.

— Jego słowa zaniepokoiły, a nawet przestraszyły mnie. Z Nikołajem Bucharinem spotykałam się w dalszym ciągu. Chodziłam do teatru, wspólnie czytaliśmy. Przeczytał mi kiedyś fragment powieści „Hamsuna „Wiktoria”, kończący się słowami: „Źródłem wszystkiego co ziemskie i władczynią wszystkiego co ziemskie stała się miłość, ale cała ta droga usłana jest kwiatami i krwią kwiatami i krwią!”

— Dlaczego krew?

— Chciałabym, aby były tylko kwiaty? Nie bryka tak w życiu. Jeśli miłość nie pokonuje trudności, nie zwycięża, to nie jest to miłość prawdziwa.

I nagle, patrząc na mnie smutnymi i wzruszonymi oczami, zapytał:

— Mogłabyś pokochać zadżumionego?

Speszylałam się...

— Dlaczego nie, dlaczego nie odpowiadasz?

Wzruszona, natwierałam usta, pytałam:

— Kogo pokochać — ciebie?

— Mnie, oczywiście, mnie — powiedział pewnie.

I już miałam odpowiedzieć, że tego nie mogłabym pokochać, bo go już kochałam. Kiedy poprosił:

— Nie trzeba, nie trzeba nie odpowiadać! Boję się odpowiedzieć! Nieraz, w czasie długich lat męczarni, przypominało mi się to fatalne pytanie:

— Czy mogłabyś pokochać zadżumionego?

Czy można uszyć garnitur bez miary?

Nikołaj Bucharin miał charakter skomplikowany, nigdy nie było dokładnie wiadomo, czego można było od niego oczekiwać. A i on sam też nie zawsze przewidywał swoje zachowanie, zdolny był do czynów nieprzewidywalnych.

Pewnego razu rozmawiałam z Nikołajem Bucharinem o jego wyjeździe do Paryża Józef Stalin zauważył:

— Wyarty masz garnitur, Nikołaju, niezręcznie tak iść, trzeba być dobrze ubranym...

W tym samym dniu zadzwonił krawiec z Komisariatu Spraw Zagranicznych który chciał jak najszybciej wziąć miarę. Nikołaj Bucharin poprosił, aby uszyto mu garnitur bez przysmaków i usiłował tłumaczyć krawcowi, jak bardzo jest zajęty.

— Jak to, bez przysmaków? — zdziwił się krawiec. — Zawierzcie mi, mojemu doświadczeniu towarzyszu Bucharin, żaden jeszcze krawiec nie szuł garnituru bez miary.

— Niech więc pan szuje ze starego garnituru — zaproponował Nikołaj. Zapomniał jednak, że jedyny stary garnitur miał na sobie. W końcu znalazł chwilę na odwiedzenie krawca. Uszyli mu nowy garnitur, pojechał w nim do Paryża, a później aresztowano go w nim.

Dwa miesiące po aresztowaniu męża, Anna Łarina razem z synem i ojcem Nikołaja Bucharina zostali przeniesieni z Kremla do rządowego domu przy Moście Kamiennym, już wtedy na pół pustego. Przystano im rachunek za mieszkanie. Nie było czym płacić, a ponieważ dom był w gestii CKW, Anna Łarina napisała do jego szefa, Michaiła Kalinina mały liścik:

„Panie Michaił! Wywiad taryfarski nie zabrał i finansów swojego najmity, Nikołaja Bucharina, nie mam więc możliwości

placenia za mieszkanie, nie opłacam rachunków wysyłam Pansu”. Nikołaj Bucharin nigdy nie miał żadnych oszczędności. Honorarium za swoje prace literackie przysyłał na fundusz partii. Odmówił pobierania pensji redaktora „Izwiestii”. Pensję dostawał w Akademii Nauk ZSRR, której był członkiem rzeczywistym. Bywało nieraz, że pożyczal pieniądze od swoich liderów, N. Kijkowa.

Jak stary Altajczyk poszukiwał Nikołaja Bucharina.

Nikołaj Bucharin przebywał na Altaju nad jeziorem Tieleckim. Pewnego razu, gdy rozmawiał z dwoma uczniami o ornitologii, nieoczekiwanie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł stary Altajczyk. Uważnie się rozglądał, usiłując rozpoznać wśród obecnych Nikołaja Bucharina. Ubrany był w polataną futajkę, na nogach miał strzepy obuwia, w jednej ręce trzymał nieduży worek, zaś w drugiej — jakieś zawiniątko.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał jeden z ornitologów.

— Moja przysłał panstwo twoja — powiedział Altajczyk, wracając się do ornitologa w czarnym, pilśniowym kapeluszu o dużych brzegach, co było chyba przyczyną posadzenia go o to, że jest Bucharinem. Wyobraził sobie Bucharina tylko w kapeluszu.

— Tak, Twoja panstwo — powtórzył Altajczyk, spoglądając na ornitologów. — Ja słyszała, ona przysłała i mieszka w tej izbie.

— No, skoro „twoja” patrzył, to ja nie jestem „ona” — powiedział ornitolog, śmiejąc się. — Zgadnij, gdzie „ona” jest?

— Nie ona? — zdziwił się tubylec. Nikt, oprócz ornitologa, nie miał kapelusza i to całkowicie go zdetonowało. Chwile pomyślał, spojrzał w stronę palącego fajkę drugiego ornitologa i wskazał na niego.

— Znowu nie „ona” — powiedział, śmiejąc się, ten w kapeluszu i uznał, że trzeba pomóc tubylcowi w rozpoznaniu Nikołaja Bucharina. Pozostało jeszcze trzech mężczyzn, w tym dwóch z ochrony.

— To tamten! — Ornitolog w kapeluszu skłaniał słowa w stronę Bucharina.

— To ona? — zdziwił się Altajczyk. — Twoja mówi prawdę?

Nikołaj Bucharin w butach, sportowej kurtce, czapce zamiast kapelusza, nie wywarł na tubylcu oczekiwanego wrażenia.

— Przecież Bucharin jest duża, ładna, a co?

Rozległ się ogłuszający śmiech, a najdłuższy śmiał się ci dwaj z ochrony. W końcu Nikołaj Bucharin odwrócił się.

— Po co przyszedłś mnie obejrzeć, nie jestem przecież panną na wydaniu, a w dodatku, jak widzisz, nieduży i nieładny, samotny zawod...

Altajczyk nie wiedział, co to takiego „zawód”, ale o narzeczonej zrozumiał.

— Moja nie trzeba narzeczonej, moja mied baba. Ona upiekła ci placzek — i podał Bucharinowi nieduże zawiniątko, w którym okazały się być placiki upieczone z pierwaszordnej maki oszpeconej i, dodad trzeba, upieczone po mistrzowsku. Nikołaj zaczął czestować nimi wszystkich obecnych, co Altajczyka ubodło.

— Moja baba tylko tobie prezenta upiekła, mało ma.

— Za co mnie spotkał taki honor? — zapytał Bucharin.

— Co? Moja nie rozumiała.

— Pytam, dlaczego twoja baba tylko dla mnie upiekła placiki?

— Moja powiedziała: upiecz prezenta Bucharina za to, że ona kocha ludzi.

— Lud — zauważył ornitolog.

— Lud, lud. Tak-tak-tak — potwierdził Altajczyk.

— No, jak wam tak się teraz żyje w kolchozie? — zapytał Bucharin.

— Powiedziałbym ci, ale tutaj dużo ludzi.

— Mów, mów, nie bój się — poprosił Bucharin.

— Moja wszystko powiedziała i tak moja rozumie, jak żyjemy. Mówię, dużo ludzi, nie można powiedzieć.

Zaspoakołszy swoją ciekawość, Altajczyk poszedł do wyjścia. Wszyscy poszli odprowadzić przybysza do jeziora, na którego brzegu była jego łódka, dębanka, wykonana z odpłowianego kawałka grubego pnia drzewa. Altajczyk przywiał worek z maką do pieców i, pożegnawszy się tylko z Bucharinem, odbił od brzozy.

— Bądź zdrowa, moja dobra!

Kolejny fortel Józefa Stalina

Gdy pewnego dnia gazety poinformowały (był to kolejny fortel Józefa Stalina), że sprawa Nikołaja Bucharina została przerwana, Bucharin dostał telegram z gratulacjami od Romana Rollanda i list z gratulacjami od Borysa Pasternaka. Bardzo go to wzruszyło. Zaś później, gdy w drugiej połowie stycznia roku 1937 z gazety „Izwiestia” zniknął podpis redaktora odpowiedzialnego Nikołaja Bucharina i stało się bardziej niż jasne, że sytuacja jego jest zupełnie zła, Borys Pasternak ponownie przysłał do Bucharina krótki list, którego, jak by to nie brzmiało dziwnie, nie zatrzymał. Pisał w liście, iż „ładne siły nie zdołają przekonać mnie o pańskiej zdradzie”, a zachodzące w kraju wydarzenia niepokoiły go. Nikołaj Bucharin po otrzymaniu takiego listu był wstrząśnięty mstwem poety, ale jednocześnie bardzo zadowolony z tego dalsze losy.

Gdybym mógł to przewidzieć...

W maju 1936 r. Nikołaj Bucharin wrócił z żoną z Paryża, gdzie usiłował, niestety bezskutecznie, kupić dla Związku Radzieckiego archiwum Karola Marкса i inne dokumenty, które po dojściu Adolfa Hitlera do władzy, Niemcy socjaldemokraci wystawili na sprzedaż.

— Nie przejmuj się Nikołaju — pocieszał go Józef Stalin — kupimy archiwum, oni ustąpią.

Nikołaj Bucharin pracował w redakcji „Izwiestii”, w Akademii Nauk ZSRR, przygotowywał nową, „stalinowską” konstytucję.

W początkach sierpnia dostał urlop i wyjechał w sory Pamiru na polowanie. Znalazł się w ostepach, do których nie docierała żadna wiadomość.

19 sierpnia 1936 roku potawily się nieoczekiwane i straszne wiadomości. Anna Łarina przeczytała o tym w gazetach, które informowały o początku procesu „Zjednoczonego Centrum Trockistowskiego”, o tym, że wielu jego uczestników oskarżono Nikołaja Bucharina. Wkrótce pojawił się komunikat prokuratury o rozpoczęciu śledztwa w sprawie osób wymienionych w procesie, w tym i Nikołaja Bucharina. Na zebraniach podejmowano śnieżne rezolucje:

„Posadzić na ławie oskarżonych...”

Od Nikołaja Bucharina nie było wiadomości. W końcu dowiedział się z przypadkiem o śmiertelnym niebezpieczeństwie, jakie nad nim zawisło, przyleciał samolotem z Taszkentu. Niepokoił się, że zaareztują go od razu na lotnisku. Gdy zobaczył żonę, wykrzyknął:

— Gdybym mógł to przewidzieć, uciekłbym od ciebie na wstrząś armatni!

— Dokąd jedziemy? — zapytał przyspieszony snorem. Bucharin zastanawiał się, skąd by to bezpośrednio zadzwonił do Stalina. Niech się dzieło co chce! — zdecydował i pojechał do mieszkania na Kremlu. Ochroniarz, jak gdyby nigdy nic, oddał honoru członkowi Centralnego Komitetu Wykonawczego.

Ze swojego gabinetu zadzwonił nieszczęśliwie do Józefa Stalina. Niezmany głos odpowiadał:

— Towarzysze Stalin jest w Soczi.

Teraz w Soczi? — pomyślał Bucharin. Uznał, że dzwonił do Henryka Jagody nie na sensu. Nie miał pojęcia, że Henryk Jagoda przeżywa w NKWD ostatnie dni i że będzie sądony razem z nim na tym samym procesie. Czymi dniami siedział w swoim gabinecie czekając na telefon.

Karol Radetz, członek kolegium redakcyjnego „Izwiestii” zainteresował się nowodem nieobecności Nikołaja Bucharina w pracy.

— Dopóki w prasie nie pojawi się zmiennik to pośle pismo, moja wola w redakcji nie zostanie — wyrażnił Bucharin.

Na początku września 1936 r. zadzwonił telefon. Propono, aby zjawił się w KC WKP(b) na rozmowę z Lawrem Kaganowiczem.

Dlaczego z Kaganowiczem? — zdziwił się Bucharin. Zadzwonił do Józefa Stalina i dostał taką samą odpowiedź:

— Towarzysze Stalin jest w Soczi.

Uzadźniono mu konfrontację z Glebożem Sokolnikowem, przyjacielem z lat młodości, a ten świadczył przeciw niemu list w żywe oczy.

10 września 1936 roku w gazetach pojawił się komunikat Prokuratury ZSRR, w którym mówiło się o przerwaniu śledztwa w sprawie Nikołaja Bucharina i Aleksieja Rykova, co było taktycznym ruchem Józefa Stalina, mającym ukazać „obiektywność” śledztwa. Józef Stalin, wykorzystując łatwowierność Bucharina, demonstrował miłość do niego, a za plecami przygotowywał jego likwidację.

Spotkanie z Józefem Stalinem.

7 listopada 1936 r. otrzymał a redakcji zaproszenie na uroczystości 19 rocznicy Października. Na Placu Czerwonym mieli miejsce niedaleko Mauzoleum i Józef Stalin spotrzeł Nikołaja Bucharina. Nagle Anna Łarina zauważyła, że w ich kierunku zmierzają wartownicy i bardzo się zaniepokoiła. Sądziła, że idzie, aby aresztować Bucharina. Wartownik jednak zaszutrował i powiedział, że towarzysz Stalin prosi towarzysza Bucharina, aby ten wszedł na Mauzoleum, gdyż tam jest jego miejsce. Nikołaj Bucharin wszedł na Mauzoleum, ale nie udało mu się porozmawiać z Józefem Stalinem.

Miesiąc, który po tym nastąpił minął we względnie spokojnym. Na początku grudnia 1936 r. zwołano Plenum KC WKP(b). O porządku obrad go nie poinformowano. Gdy wrócił, powiedział do Anny Łariny:

— Poznajmy się. Twój pokorny sługa, szlachc, terrorysta i spiskowiec!

Nowy szef NKWD Nikołaj Jeżow ze straszną siłą runął na Bucharina, oskarżając go o organizację spisku i o udział w zabójstwie Siergieja Kirowa.

— Zamiećcie! — wykrzyknął Nikołaj Bucharin. Wszyscy się odwrócili, ale nikt nie wymówił nawet słowa.

Józef Stalin powiedział, że z wyrokiem nie trzeba się spieszyć, lecz śledztwo trzeba kontynuować. Nikołaj Bucharin podszedł do Stalina i powiedział, że należałoby skontrolować pracę NKWD, gdyż nie można wierzyć tak spotwarzającym zeznaniom Józefa Stalina odpowiedział, że minionej zasług nikt Bucharinowi nie odbiera, następnie odszedł na bok.

Trzy kolejne miesiące Nikołaj Bucharin spędził w byle-iej sypialni Józefa Stalina, z którym — na jego prośbę — zamienił się mieszkaniami. W mieszkaniu tym zastrzeliła się Nadieżda Allilujewa — żona Józefa Stalina.

Nikołaj Bucharin wysłał do Józefa Stalina kilka listów. „Drogi Koba” — pisał, bo taki w młodości pseudonim miał Józef Stalin, dowodząc swojej niewinności i obalając oszczerstwa, Anna Łarina cały czas była przy mężu, za wyjątkiem tych minut, kiedy wychodziła do dziecka. Pewnego dnia zobaczyła w jego ręku pistolet. Zaczęła krzyczeć.

— Nie bój się, nie mogłem — powiedział Bucharin — Jak sobie pomyślałem, że zobaczysz mnie martwego...

Sergo Ordżonikidze zachęca do wytrwałości.

Pewnego razu Łarina wyszła na ulicę, aby tyknąć świętego powietrza i zderzyła się z Sergo Ordżonikidze. Ten się zatrzymał, popatrzył na nią oczami pełnymi takiej boleści. Do dzisiaj nie może zapomnieć tego spojrzenia. Potem uścił jej rękę i powiedział dwa słowa:

— Bądźcie siłni!

Wsiadł do samochodu i odjechał.

Dzwonek u drzwi. Przysięśli wiadomość o zwołaniu Plenum KC WKP(b) — „lutowo-marcowego” Porządek dnia: sprawa Nikołaja Bucharina i Aleksieja Rykova. Bucharin decyduje się nie iść na Plenum KC WKP(b) i ogłasza głodówkę.

W liście do Biura Politycznego pisze:

„Przetłumaczę przechrzta niesłuchanym oskarżeniom ogłaszam głodówkę...”

Dzwonek u drzwi. Trzech mężczyzn przynosi rozkaz opuszczenia Kremla.

Telefon od Józefa Stalina:

— Co z ciebie, Nikołaju, słychać?

— Przysięli właśnie wysłidić mnie z Kremla...

— To posłij ich do wszystkich diabłów...

16 lutego 1937 roku Nikołaj Bucharin pojechał się z ojcem, ze swoją pierwszą żoną Nadieżdą, również później represjonowaną. Napisała do Józefa Stalina list, że nie chce być członkiem partii w czasie, gdy stawiają Nikołajowi Bucharinowi tak potworne, nieuzasadnione zarzuty i odesłała Józefowi Stalinowi legitymację partyjną.

Sergo Ordżonikidze popełnił samobójstwo. Plenum przesunęło. Potem — nowy porządek dnia z kwestią antypartyjnego postępowania Nikołaja Bucharina w związku z ogłoszoną przez głodówką. Decyduje, że na Plenum pójdzie, ale głodówki nie przerwie.

— Przeczu komu, Nikołaju, ogłoszłeś głodówkę, przeczuła K3 partii? Proś Plenum o przebaczenie — mówi Józef Stalin.

— Po co, jeśli macie zamiar wykluczyć mnie z partii?

— Nikt nie będzie cię z partii wykluczał.

Po raz kolejny Nikołaj Bucharin uwiarył „Kobie” i poprosił Plenum KC WKP(b) o przebaczenie.

Pożegnania.

W lutego roku 1937 wieczorem zadzwonił sekretarz Józefa Stalina Poekriebysszew i oświadczył, że Nikołaj Bucharin ma pojawić się na Plenum KC WKP(b).

— Nikołaj Bucharin upadł przede mną na kolana — wspomina Anna Łarina — i ze łzami w oczach prosił, abym mu wybaczyła to, że zmarł na ten świat. Prosił, abym syna wychowała na bolszewika. — Koniecznie na bolszewika — powtórzył. Prosił, abym walczyła o jego uniewinnienie i abym nie zapominała nawet linijki z jego listu-testamentu. — Sytuacja się zmieniła na pewno się zmieni — powtarzał — jesteś młoda, dożyjesz. Przysięgnij, że zdołasz zachować w pamięci mój list! — Przysięgnęłam.

Wstał z podłogi, objął mnie, pocałował i drżącym głosem powiedział: — Uważaj, Anutka, nie żęłij się, bywają w historii przykre błędy, ale prawda zatrumfuje! Wszystko we mnie dygotało.

List „Do przyszłego pokolenia przywódców partii” Nikołaj Bucharin napisał na kilka dni przed aresztowaniem do którego, jak też i do nieuchronnej śmierci był duchowo przygotowany. Całkowicie stracił już nadzieję na uniewinnienie i zdecydował, że oświadczyć potomkom, iż z przestępstwem nie miał nic wspólnego i prosi o przywrócenie praw członka partii.

— Miałam wtedy 23 lata i Bucharin był przekonany, że dożyję dnia, kiedy będę mogła przekazać jego list KC — wspomina dalej Anna Łarina. — Był przekonany, że w trakcie rewizji list zostałby znaleziony i poddany by mnie represjom, prosił więc, abym nauczyła się go na pamięć. Gdy po wielu próbach udało mi się, że doskonale pamiętam treść listu, zniszczył rękopis.

Swoje ostatnie słowa do partii pisał na niedużym stoliku, na którym leżały listy pisane do niego przez Włodzimierza Lenina. Przez te wszystkie ostatnie dni czytał je po wielokroć...

Opracował: HENRYK B. TYMIŃSKI

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

KIEDY MOŻNA NIE ODPOWIAĆ NA KRYTYKĘ PRASOWĄ?

Zbulwersował mnie komentarz Witolda Borowego, nazwany przez niego refleksjami do odpowiedzi rzecznika prasowego „Kontura” w Koninie p. Haliny Kurzawskiej („Odgłosy” nr 6 z 6 lutego 1988 r.). Z notatki W. Borowego wynika, że dobrze zna „Prawo prasowe”. Jednakże przytaczając jego artykuły stara się udowodnić, że p. Halina Kurzawska nie dopełnia swych obowiązków jako rzecznik prasowy. Podaje nawet w wątpliwość jej kwalifikacje.

Brak mi jednakże jednej informacji w wywodach W. Borowego — mianowicie czy zgodnie z „Prawem prasowym” krytyczny artykuł został przez redakcję „Odgłosów” przekazany adresatowi. Jeśli tak było, wina krytykowanego przedsiębiorstwa jest ewidentna. Jednakże wyczuwając się w tekście komentarza można przypuszczać, że tekst takowy chyba przesłany nie został, bo zawarta jest w nim pretensja, iż p. rzecznik nie poszukiwała „Odgłosów” w „Ruchu”, a także nie wie o tym, że określona ilość tygodnika znajduje się na terenie województwa.

Art. 6 ust. 2 prawa prasowego stanowi, że organa państwowe i inne państwowe jednostki organizacyjne obowiązane są do udzielenia odpowiedzi na przekazaną im krytykę prasową bez zbędnej zwłoki, nie później jednak niż w ciągu miesiąca. W przepisie tym jest mowa o „przekazanej” krytyce.

Do odpowiedzi na krytykę prasową przywiązują dużą wagę centralne i terenowe organy administracji państwowej. Jednakże podkreśla się, że spełnienie winny być winny z obu stron. Krytykujących i krytykowanych. Wagę poglądu prawnego na powyższy temat ma uchwała Sądu Najwyższego z 19 sierpnia 1987 r. Oto jej treść:

„Brak odpowiedzi na krytykę prasową przewidzianą w art. 6 ustawy z dn. 26 stycznia 1984 r. Prawo Prasowe, mimo upływu miesięcznego terminu do przekazania jej adresatowi przez redaktora naczelnego z żądaniem ustosunkowania się, jest — w rozumieniu art. 4 ust. 3 — równoznaczny z odmową udzielenia informacji, na którą służy skarga do Naczelnego Sądu Administracyjnego”.

Jak jest więc z przekazywaniem krytyki prasowej adresatowi? Brak spełnienia tego wymogu przez większość redakcji jest zjawiskiem powszechnym. W ocenie Biura Prasowego Rządu zaledwie 5 proc. krytycznych artykułów trafia do redakcji do adresatów.

Byłbym wdzięczny, gdyby list mój został opublikowany wraz z odpowiedzią na moje pytanie. Łączę pozdrowienia.

mgr PAWEŁ PIOTROWSKI
(Rzecznik prasowy prezydenta m. Łodzi)

Ponieważ list był adresowany bezpośrednio do mnie, czuję się w obowiązku nie tylko list ten opublikować, ale też odpowiedzieć na postawione tam pytanie. Rozumiem, że Pawłowi Piotrowskiemu chodzi nie tyle o ogólną zasadę, co o konkretną praktykę.

Zasada jest prosta i autor listu ją przypomina, powołując się na art. 6, ust. 2 „Prawa prasowego”, gdzie mówi się wyraźnie, że obowiązkiem odpowiedzi dotyczy tylko „przekazanej” im krytyki prasowej. I dotyczy to również terminu miesiąca, w jakim ta odpowiedź powinna wpłynąć.

A jak to jest w praktyce? I jak było w konkretnym przypadku krytykowanego „Kontura” z Konina?

Otóż Witold Borowy przypomniał jedynie, że można było potraktować odpowiedź Haliny Kurzawskiej z konińskiego „Kontura” formalnie i uznać ją za niebyłą, gdyż nadeszła z dużym opóźnieniem. Oczywiście redakcja „Odgłosów” nie miała prawa domagać się tej odpowiedzi w terminie, gdyż felietonu Witolda Borowego pt. „Gospodarz — to znaczy kto?” nie przesłała do Konina. I gdyby okoliczności tej sprawy sprowadzały się tylko do tego, nie miałaby ona ciągu dalszego na łamach pisma.

Rzecz od początku wyglądała inaczej. Przedsiębiorstwo turystyczne „Kontur” działa na terenie miasta i gminy Uniejów. Władze lokalne poczuły się w obowiązku przesłania — wyrażając tym redakcję — pełnego tekstu felietonu do Konina, do wiadomości „Kontura”, Urzędu Miasta i Gminy w Uniejowie systematycznie przysyłał korespondencje do władzomości redakcji — posiadamy ją całą w redakcyjnym archiwum. Jeśli więc Witold Borowy krytycznie skomentował sposób rozumowania i argumentację rzecznika prasowego „Kontura”, Haliny Kurzawskiej, to występował nie tyle w obronie prawa redakcji do krytyki, ile w obronie Urzędu Miasta i Gminy Uniejów, który to Urząd był systematycznie lekceważony przez konińskiego „Kontura”. Poza tym Witold Borowy nie mógł pogodzić się z lekceważącym i ironicznym tonem pisma podpisanego przez Halinę Kurzawską, z czym trudno się nie zgodzić i mieć mu to za złe. Podkreślić chciałbym przy tym, że ten lekceważący ton odnosił się nie tylko do naszego pisma i autora felietonu — do czego jesteśmy przyzwyczajeni i na co jesteśmy też uodpornieni — ile do sumiennie wykonywanych obowiązków pracowników Urzędu Miasta i Gminy Uniejów.

Wiem, że wiele redakcji nie dopełnia obowiązku wysyłania materiałów krytycznych. Dlaczego? Otóż nie dysponują one niezbędnymi do tego możliwościami. Po pierwsze — nie posiadają działów listów i interwencji powołanych do tego rodzaju pracy. Po drugie — ze względów oszczędnościowych nie mają tylu wolnych egzemplarzy pisma, aby każdemu krytykowanemu można było je wysłać, co miałyby też znaczenie reklamowe. Po trzecie — nie zawsze mają łatwy dostęp do kserografów, aby mogły zrobić potrzebne odbitki krytycznych materiałów prasowych.

W praktyce „Odgłosów” dorobiliśmy się takiej sytuacji, że wiele instytucji czyta pismo i przysyła odpowiedzi na naszą krytykę bez wysyłania im materiałów krytycznych. Pewną zasługą ma w tym również rzecznik prasowy prezydenta m. Łodzi.

Na spotkaniu z przedstawicielem Biura Prasowego Rządu, jakie niegdyś miało miejsce w „Dzienniku Łódzkim”, podnosiliśmy kwestię małej przydatności art. 6, ust. 2 „Prawa prasowego”, wychodząc z założenia, że skoro niemal już wszystkie instytucje mają swoich rzeczników prasowych, to czytanie gazet i wyszukiwanie materiałów krytycznych powinno być ich obowiązkiem. Ustyszałem wówczas, że nie mogą tego czynić z tego samego powodu, z jakiego my nie możemy dokładnie wykonywać nałożonego na nas obowiązku, a mianowicie z braku pieniędzy. Nie stać ich po prostu na kupno prasy lub zaprenumerowanie wycinków w „Globle”. No i tak znaleźliśmy się w miejscu startu.

My wiemy, że trzeba, wy wiecie, że trzeba, oni wiedzą, że trzeba, ale nie wszyscy mogą. Czasem wygodniej udawać, że się danego numeru gazety lub pisma nie czytało, skoro redakcja nie dopełnia obowiązku i nie nadesłała krytycznego materiału. Ot i wszystko, choć trudno się z tym zgodzić.

„Odgłosy” myślą o tym, aby w najbliższym czasie, jeśli powstanie takie możliwości, powołać coś w rodzaju działu listów i interwencji. Czytelnicy kolumny „Polemiki — Listy — Opinie” widzą, a korespondenci wiedzą, jak długo czasem trzeba czekać na opublikowanie listu, a i tak nie wszystkie mogą się ukazać. Potrzeba powołania czegoś takiego — jak namiastka działu listów i interwencji — istnieje, choć przyznam się, że jeszcze nie wiem, jak to rozwiążemy.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

KTO POMOŻE KOBIECIE?

Zwracam się z prośbą o pomoc w otrzymaniu eksmisji dla byłego męża Ryszarda Cuch zam. w Łodzi, przy ul. Zielnej 7 m 32/33. Na realizację eksmisji czekam piąty rok. Mam syna w wieku 12 lat, który chodzi do piątej klasy. Muszę syna leczyć, ponieważ ma nerwicę serca, a co będzie dalej, jak będziemy mieszkali z pijakiem i awanturnikiem?

Mieszkamy w pokoju z kuchnią na poddaszu, byli mąż zajmuje pokój, a ja z synem kuchnię, ponieważ muszę korzystać z pieca. Syn śpi na podłodze na materacu, ponieważ mamy tak ciasno, że nie mam mu gdzie rozłożyć jego spania. Poza tym tatuś pijak i awanturnik robi, co mu się podoba, twierdząc, że on ma większe prawo ode mnie i od syna, bo on też tu mieszka.

Bardzo gorąco prosilibym o pomoc, ponieważ na liczne moje podania i odwołania do Wydziału Spraw Lokalowych Łódź — Bałuty otrzymuję negatywne odpowiedzi i że mam czekać na następny rok. Sąd dał eksmisję rozwodową chyba tylko na papierze, bo nie można jej w ogóle otrzymać, więc jak długo można mieszkać pod jednym dachem z obcym już człowiekiem. Bardzo bym prosiła o pomoc, bo sama już nie wiem, co mam dalej w tej sprawie robić i gdzie szukać pomocy.

Podaję swój numer sprawy: ILK-8174/180-W-277/83, Urząd Dzielnicowy Łódź — Bałuty, ul. Zachodnia 47, Wydział Spraw Lokalowych.

MALGORZATA CUCH

OD REDAKCJI: Unikamy wszelkiego mieszania się w sprawy mieszkaniowe, choć od czasu do czasu drukujemy listy na ten temat, przekazując niejako prośby naszych Czytelników odpowiednim władzom, które są jedynie władne coś im pomóc. Niekiedy bowiem wydobyły sprawy trudnej, ale pilnej w załatwianiu, na światło dzienne zmusza niektórych urzędników do jej należytego załatwienia. Dokonuje się to bowiem pod społeczną kontrolą.

Tak postępujemy i w tej sprawie. Mamy nadzieję, że zainteresuje się nią naczelnik Bałut i prześle redakcji swoje w tej sprawie stanowisko. Czekamy i z góry dziękujemy!

KSIAŻKI POSZUKIWANE I NIE CHCANE

Nawiązując do listu Józefa Janke z Wrocławia, zatytułowanego: „Dlaczego tylko fragmenty „Dagome iudex”, opublikowanego w nr 2 „Odgłosów”, pragnę również podzielić się swymi spostrzeżeniami.

Uważam za słuszne publikowanie fragmentów książek, które mają się ukazać. Jednocześnie rozumiem irytację Józefa Janke, który z góry już wie, że książki tej w księgarni nie dostanie. Wydawnictwo wydrukowało „Dagome iudex” prawdopodobnie w takim nakładzie, że w księgarniach książka będzie sprzedawana spod lada. Podobnie przecież było z poprzednią książką Z. Nienackiego „Raz w roku w Skirłowicach”.

Brak papieru, brak mocy przerobowych, nikogo obecnie nie przekonuje, gdy słyszy się, jakie to olbrzymie ilości „niechodliwych” książek przewiduje się do przemiatu oraz gdy widzi się w księgarniach duże ilości przez nikogo nie kupowanych „książek dyżurnych”, mających jedynie za zadanie stwarzanie pozoru, że w księgarni jest dużo książek.

Wiadomo, że na całym świecie, w tym również w Polsce, w różnych okresach panuje moda na określony rodzaj książek. Aż dziw bierze, że w okresie reformy gospodarczej księgarze i wydawcy nie są zainteresowani potrzebami rynku. Dziwne, że nie śledzą, które pozycje znikają prosto z zaplecza i nie wznawiają ich.

Podsumowując powyższe ośmielam się zgłosić pod rozważę redakcji „Odgłosów” następujące propozycje:

1. Rozpatrzyć możliwość rozpisania wśród czytelników „Odgłosów” ankiety, jakie tytuły książek widzieliby w swojej bibliotece.
2. Wyniki takiej ankiety przedstawić na łamach „Odgłosów” oraz zainteresować nimi wydawców.
3. Dokonać oceny, na ile wydawnictwa książkowe utraciły ze swoimi zamierzeniami wydawniczymi na bieżący rok w gusty czytelników. Najlepsze pod tym względem wydawnictwo wyróżnić w imieniu czytelników na łamach „Odgłosów”.

Uważam, że powyższe rozważanie życzeń potencjalnych nabywców książek mogłoby być dobrym drogowskazem dla układania planów wydawniczych w przyszłości.

LECH RUTKOWSKI
(Ostrowiec Świętokrzyski)

OD REDAKCJI: Propozycja Lecha Rutkowskiego wydaje się interesująca. Rodzi się tylko jedna wątpliwość: — dlaczego poznanie rynku mają zajmować się „Odgłosy” skoro księgarze powinni posiadać wyspecjalizowane do tego instytucje. Wydawcy, o ile wemy, nim ustala nakład, pytają o zdanie księgarzy. Skąd więc nie trafiają książki? Część z nich pochodzi niewątpliwie z dawniejszych lat, kiedy to wszystko ludzie kupowali. Zastanówmy się jednak nad propozycją Lecha Rutkowskiego, gdyż — naszym zdaniem — warto byłoby ustalić zestaw książek, które każdy z nas chciałby mieć i które powinny być jednak w ciągłej sprzedaży w księgarniach.

CZY KARA ZA INTERWENCJĘ?

W związku z ukazaniem się listu pod powyższym tytułem w „Odgłosach” nr 4 z 1988.01.23 oświadczam, iż losy emeryta, któremu złośliwie wyduła się termin zaistalowania telefonu w mieszkaniu nie jest obojętny. Obawy autora są prawdziwe i słuszne! Mój przypadek jest identyczny!

Jestem również klientem Urzędu Telekomunikacji Łódź-Północ, ul. Zawiszy 8/10. Mnie również obiecano zaistalowanie telefonu w roku 1980. Kiedy w 1986 roku przypomniałem się i wskazałem zwolniony numer w następnej posesji (nr 51-49-07) skutecznie okłamano mnie, że numer ten nie zostanie nikomu przydzielony. Minął rok, po którym dyr. Bolesław Dziegielewski odpisał mi, że telefon ten zostanie przydzielony rodzinie, która otrzymała to mieszkanie jako lokal zastępczy, gdyż są to krewni byłego abonenta. Ale rok wcześniej nie wiedział, że jest to rodzina.

W tej sytuacji mogę podejrzewać, że omawiany numer został

sprzedany. Odpowiedzi dyr. Bolesława Dziegielewskiego na moje pismo były nie na temat a wręcz lekceważące.

Interwencje w jednostkach nadrzędnych a nawet w Komitecie Łódzkim PZPR nie dały spodziewanego rezultatu. W efekcie mnie również wydłużono termin do 1993 r. Czarno widzę przyszłość.

Nadmieniam, iż dotychczasowe zaświadczenie mojej chorej psychicznie matki w wieku lat 73 nie wzrusza nikogo. Tym bardziej, że w omawianej posesji zamieszkuje 12 rodzin, w większości osoby starsze, samotne, a dwie ukończyły 80. rok życia. Mam uzasadnione powody, aby twierdzić, że ważniejsze są jednak „plecy” lub pieniądze niż sprawiedliwość. I tym razem nie wierzę w skuteczność mojej korespondencji.

Wyrażam zgodę na opublikowanie mojego listu. Łączę pozdrowienia.
Łódź, 21.01.1988 r.

KAZIMIERZ STANISŁAW GUMIŃSKI

W nawiązaniu do notatki z 1988.01.23 „Czy kara za interwencję” Urząd Telekomunikacji Łódź-Północ uprzejmie wyjaśnia:

Ob. Marian Skrobisz złożył wniosek o zaistalowanie telefonu 1977.02.03. na ul. Giewont 40, w roku 1982 zmienił miejsce zamieszkania na ul. Przędzecz 14. W rejonie tym były instalowane telefony na podstawie przedpłat wysyłanych w roku 1976. Wykonanie instalacji wyczerpało techniczne możliwości instalacji telefonów.

Ob. M. Skrobisz pisze o bezdusznej pracy Urzędu Telekomunikacji Łódź-Północ, w którym czeka na zaistalowanie telefonu od roku 1977, choć sam doskonale wie, że UT-Północ przejął jego wniosek wraz z przejęciem rejonu w roku 1985.

Jednocześnie wyjaśniamy, że w swoich informacjach podajemy terminy rozpatrywania wniosków z danego rejonu, a nie terminy wykonania instalacji. Zmiany wynikają ze zmian terminów realizacji inwestycji w danym rejonie, np. rozbudowa centrali i sieci w rejonie zamieszkania Ob. M. Skrobisza została przesunięta na lata 1988—93.

Obywatel M. Skrobisz był na interwencji u dyrektora UT 1986.08.28 i został przyjęty poza kolejnością, natomiast w dniach 3, 6 i 8.10.1986 próbował rozmawiać z dyrektorem bez umawiania się. Rozmowa nie doszła do skutku z powodu odbywających się narad i posiedzeń komisji do spraw przyznawania telefonów. Dyrektor UT stara się przyjmować pracowników resortu poza kolejnością, jednak nie zawsze jest to możliwe, gdyż praca Urzędu nie ogranicza się jedynie do przydzielania telefonów. Urząd Telekomunikacyjny, pomimo mylącej nazwy, jest jednostką gospodarczą wykonującą różnego rodzaju usługi telekomunikacyjne.

Jednocześnie wyjaśniamy, że po każdej skardze Obywatela Mariana Skrobisza były dokładnie sprawdzane możliwości techniczne. W związku ze zwolnieniem się i pary w kablach w rejonie zamieszkania Obywatela sprawa została skierowana 1988.01.10 do zaopiniowania przez komisję ds. przyznawania telefonów. Komisja na swym pierwszym posiedzeniu wyda opinię czy zwolniona para w kablu przeznaczyła dla Obywatela Skrobisza czy dla inwalidy i grupy, również oczekującego w tym rejonie.

Posiedzenie komisji odbędzie się w II półroczu 1988 roku. O decyzji powiadomimy redakcję i Obywatela Mariana Skrobisza.

BOLESŁAW DZIEGIELEWSKI
(Dyrektor UT Łódź-Północ)

INFORMUJEMY O KONKURSIE

KONKURS NA RYSUNEK SATYRYCZNY ANNO DOMINI 1988

Choć wokół ludziom nie do śmiechu, na przekór rzeczywistości Wojewódzki Dom Kultury w Sieradzu i tygodnik „Nad Wartą” ogłaszają III konkurs na rysunek satyryczny pod nie zobowiązującym tytułem „Anno Domini 1988”. Organizatorzy mają nadzieję, iż płon konkursu będzie zbiorowym satyrycznym portretem naszych przywar i codziennych problemów.

Na konkurs należy nadesłać zestaw 5 prac wykonanych czarnym tuszem na białym tle, opatrzyć każdą z nich godłem. W zamkniętej kopercie (opatrzonej tym samym godłem) należy podać dane autora z adresem i ewentualnie numer telefonu. W konkursie wezmą udział prace nadesłane pod adresem redakcji „Nad Wartą” (98-200 Sieradz, ul. Armii Czerwonej 15) — do 20 marca 1988 r.

Ogólna suma nagród ufundowanych przez Wojewódzki Dom Kultury wynosi 40 tys. zł.

Poza konkursem zostanie przyznana nagroda redaktora naczelnego tygodnika „Nad Wartą” za najciekawszy rysunek poświęcony środowisku masowego przekazu.

REDAKCJA — CZYTELNICY

MARIA DZIECIOŁ, ARTUR STACHECKI, Tomaszów Mazowiecki. Za listy dziękujemy. Bohdan Gadomski w swoich planach ma sporo ciekawych propozycji. W miarę ich realizacji będziemy publikowali przeprowadzane przez niego wywiady.

MIECZYSLAW KOZAK, Łódź. Zgadza się, że flagi narodowe trzeba szanować. Dawny szacunek, jaki ludzie pamiętają z ubiegłych lat, przeminął chyba bezpowrotnie. Dziś flagami państwowymi wywija się na stadionach. Ale to nie powód, aby doroczyć wywieszać w święta państwowe flagi jak szmaty, wyszarpane psu z gardła. Tak być nie powinno. Ktoś musi zadbać o to, aby tak nie było i wymusić porządek. Ale kto?

SPROSTOWANIE

W moich artykułach o Stalinie i jego córce Swietłanie, zamieszczonych w poprzednim numerze „Odgłosów”, czytelnicy wychwycili pewne błędy w chronologii wypadków.

Więc ustalmy, Stalin ukazał się publicznie po raz ostatni 28 lutego 1953 r., a nie 28 kwietnia. Swietłana, córka Stalina, wezwano z lekcji francuskiego do łóża umierającego ojca nie 5 lecz 3 marca. Tyle dla ścisłości. Te dwie omyłki, w porę nie wyłapanie wkradły się do druku. Mea culpa.

JAN BABIŃSKI



Japonia w „Arlekinie”

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

3 marca — RYSZARD BINKOWSKI — godz. 10—16

10 marca — BOGDA MADEJ — godz. 10—16

Czy nie dość przedruków o Stalinie z prasy radzieckiej i z książek — pytał w czasie ostatniego naszego dyżuru przy telefonie pan A.R. (nazwisko znane redakcji). Dlaczego nie ukazują się żadne teksty, omawiające okres stalinizmu w Polsce tak, jakby nas to nie dotyczyło? Czytelnik dysponuje interesującymi materiałami na ten temat i obiecał udostępnić je redakcji.

O trwającym już kilka lat konflikcie między mieszkańcami segmentów a Belchatowską Spółdzielnią Mieszkaniową zawiadomili nas pan Ratusznik z Belchatowa. Generalnie — chodzi o niewłaściwe rozliczenia i chęć obciążenia mieszkańców nie tylko tymi kosztami, które powinni ponieść. Sprawa trafiła już do sądu — i warto zapoznać się z nią bardziej szczegółowo, choćby ku przestrodze innych.

Wzrost cen żywności musiał pociągnąć za sobą także podwyżkę w jadłodajniach — ale czy także podwyżkę opłat za szatnię? Pytało o to kilku emerytów, korzystających z obiadów abonamentowych w jadłodajni Relaks. Obecnie muszą oni płacić za szatnię dwukrotnie drożej, tj. 10 zł. Co prawda, pytając o wyjaśnienie w Zarządzie Restauracji i Kawiarni dowiedzieli się, że podwyżka opłat za szatnię nie dotyczy emerytów, posiadających abonamenty, ale... w jadłodajni wyjaśniono im, że nie ma jeszcze w tej sprawie odpowiednich zarządzeń.

Iwona Lisiecka, studentka farmacji opowiedziała o przykrych sprawach, w wyniku której nie uzyskała stypendium. Warunkiem jego uzyskania było m.in. oddanie w dziekanacie indeksu do 28 września z zaliczeniem praktyk. Tymczasem — studentka, za zgodą dziekanatu, odbywała praktyki trwające do 30 września i dopiero po tym terminie zdała indeks. Nie pomogły tłumaczenia, nie pomogła również interwencja w rektoracie, gdzie poradzono studentce dochodzić swoich ewentualnych strat zakładając sprawę w sądzie.

Nie o własne dziecko mi chodzi, lecz o problem — stwierdził pan M. Trościński. Sprawa dotyczy zapisów na pływanie w MDK. Są one prowadzone dwa razy do roku, w czasie gdy większość dzieci nie zna jeszcze planu zajęć w szkołach. Potem — wielu rodziców chce zmienić godziny pływania z rannych na popołudniowe, lub odwrotnie — żadne tego typu próby nie są uwzględniane. Nie ma również możliwości zapisania dziecka w terminie późniejszym, choć z praktyki wiadomo, że w grupach, liczących na początku około 12 dzieci, zostaje po kilku tygodniach nie więcej niż połowa — pozostałe rezygnują z zajęć. Warto by — przy tak dużej liczbie chętnych, lepiej zorganizować administracyjną pracę na pływalni.

Pani E.P. (nazwisko znane redakcji) — proponuje, aby mieszkańcy w spółdzielni otrzymywali w pierwszej kolejności te osoby, które jeszcze ich w ogóle nie mają, ci członkowie, którzy ubiegają się o poprawę warunków i zmianę mieszkania na większe mogą przecież dłużej poczekać, a tymczasem im właśnie przypada spora część nowych mieszkań.

TERESA JERZYKOWSKA



TOTALIZATOR SPORTOWY

UWAGA!

WIELKA DOBROCENA SZANSA

9 MARCA 1988 R.

w Zakładach Specjalnych
Totalizatora Sportowego

z okazji Dnia Kobiet

SZANSA NA NOWĄ REKORDOWĄ
WYGRANĄ FINEANSOWĄ



Przeznacza się dodatkowe, atrakcyjne wygrane rzeczowe:

- ▶ 5 samochodów osobowych „Wartburg Lux”
- ▶ 9 samochodów osobowych „Zaporożec”
- ▶ 15 samochodów osobowych „Trabant”
- ▶ 5 minikomputerów ATARI-128 XI z magnetofonami XT 12 Turbo

Wszystkie kupony biorą udział w dodatkowym losowaniu wygranych rzeczowych.

Skreślamy 5 z 43.

Kolektury przyjmują kupony do 8 marca 1988 r.

Millionowych wygranych i nowych samochodów tylko z tej okazji Fantom

Totalizator Sportowy
w Łodzi

884/K

LÓDZKIE PRZEDSIĘBIORSTWO
INSTALACJI SANITARNYCH
I ELEKTRYCZNYCH
w Łodzi, ul. Sienkiewicza 85/87

ORGANIZUJE
GIEŁDĘ MATERIAŁOWĄ

Oferujemy do sprzedaży pełnowartościowe
niżej wymienione materiały:

- * wentylatory, armatura sieci domowej
- * elektryczne
- * hutnicze
- * żeliwo i PCV kanal. (rury + kształtki)
- * żeliwo wodociągowe (rury + kształtki)
- * kamionka (rury + kształtki)
- * łączniki, armatura przemysłowa.

Wyprzedaż rozpocznie się od dnia 15.03.88
w Łodzi przy ul. Demokratycznej 117 w godz.
9—14, tel. 84-22-89, przedsiębiorstwom pań-
stwowym i uspołecznionym oraz osobom pry-
watnym.

ZAINTERESOWANYCH SERDECZNIE
ZAPRASZAMY!

603/k



PP „SZTUKA POLSKA”
Oddział w Łodzi
ul. Piotrkowska 86
90—950 Łódź

O F E R U J E

wszelkie usługi obejmujące projektowanie i
wykonawstwo w zakresie:

- * malarstwa
- * rzeźby i płaskorzeźby
- * metaloplastyki
- * tkaniny
- * architektury wnętrz
- * meblarstwa artystycznego
- * wystawiennictwa
- * dekoracji okolicznościowych
- * scenografii filmowej i teatralnej
- * fotografii
- * grafiki użytkowej
- * konserwacji zabytków
- * wzornictwa przemysłowego

Dysponujemy własnym zakładem poligra-
ficznym, pracownią kowalstwa, pracownią ce-
ramiczną.

CENY KONKURENCYJNE!

Wszelkie informacje w dziale usług artys-
tycznych, ul. Piotrkowska 86, tel. 33-26-88,
33-33-95.

Przyjmujemy każde zlecenie związane z

INTERFASHION

607/k

Przedsiębiorstwo Handlu Zagranicznego
TRANSPOL
w Łodzi

Z A T R U D N I

do obsługi technicznej firmy zagranicznej

* fachowa branża skórzanej (specjalność
garbarstwo)

— wykształcenie wyższe, znajomość języka
niemieckiego, 10-letni staż pracy, wiek
poniżej 45 lat.

Zgłoszenia do dnia 7 marca br., tel. 86-70-87
Łódź.

1356/k

— Sam chciałem to wiedzieć.
Sierżant coś zanotował.
— Nie wie pan. Dobrze. A do kogo odnosi się to brzydkie słowo? — indagował zapamiętany w notes. — Mieszka pan tu sam czy jeszcze z kimś?

Skala wziął nerwy w garść. Pojedynkę przewodził donikąd. Mogła go wygrać tylko policja odpowiedzialna za porządek na swoim podwórku, a pod słowo „porządek” można podciągnąć tysiąc rzeczy. Ta dzielnica nie była jakąś dzielnicą. Miasto zwane jest potocznie The Aviation Center of the World — Światowe Centrum Lotnictwa. W tej dzielnicy mieszkają największe mózgi tego Centrum. Zachłapane sztachety pały wygląd ulicy, zakłócały panujący tu porządek, mogły być poczynione za zamach na prawo mieszkańców do spokoju. A za gwałcenie praw obywatelskich w tym kraju można dostać się za kratki.

Skala nie zamierzał gwałcić niczych praw. Ale robić z siebie przedstawienia na oczach gapiów też nie! — Zaraz usunę te sztachety. Łobuzeria, psiekrewi! — zaklął.

Sierżant nie odrywał głowy od notesu.

— Nie odpowiedział pan na moje pytanie...

— Nie rozumiem! — obruszył się Skala.

— Jakis łobuz zapaskudził moją własność, a pan do mnie, jak... Mieszka tu z żoną.

— Z nikim więcej?

— Powiedziałem!

— Teraz ja pana nie rozumiem. — Sierżant nie tracił spokoju. — A może ty, Bill — kolega zapalał nowego papierosa — coś z tego rozumiesz, bo ja ani w żeb. Jeżeli pan Skala zajmuję ten dom tylko z żoną, to o kim ten zapis? Ale sprawy polityki to nie my. Powiedział pan: „jakis łobuz”. Czy podejrzewa pan kogoś konkretnego?

Sierżant pytał. Młoda jego mowa, że grzeźnie pyta, ale nie pozwoli na kpiny z prawa. — Ostrzegam, że jeżeli pan zna sprawcę, a ukrywa go, może pan być pociągnięty do odpowiedzialności za „działanie w zмовіе”. — Ociepiałym ruchem podniósł głowę znad notesu. — Więc jak?

Brazowy, plastikowy mikrofon od walkie-talkie sterczał mu prawie pod brodą, kasetka aparatu wisiała z pasa u spodni obok kabury colta i niklowanej petli kajdanki. Gdyby aparat był włączony na „over”, komendant dzielnicowego komisariatu usłyszałby każde słowo sierżanta Seana Hatfielda, gdyby zaś nagłał je na taśmie, miałby dowód złośliwości ze strony obywatela zakłócającego porządek. „Przysługuję panu prawo odmowy odpowiedzi — usłyszałby sierżant nie dającego się sprowokować do ulicznej burdy — ale wówczas będę musiał zabrać pana na posterunek. Proszę się zdecydować”.

Ten sierżant Hatfield, to znany w mieście pryskacz z Legionu Gwiazdźdźistego Sztandaru, Skala o nim słyszał. Kto wie, pomyślał, czy przed komisariatem nie czeka na niego horda dziennikarzy.

Ból w klatce piersiowej. Skala nie miał przy sobie nitrogliceryny. Ból nie był silny, że też musiał odczekać się akurat teraz!

Czuł się psychicznie zmaltretowany. Adwokat! Nie powie ani słowa więcej bez obecności adwokata! Na tylnym siedzeniu policyjnego kontenera leżała rozpostarta plachta przedwzrostowego numeru „Seattle's Monitor”, z niefortunnym zdjęciem Andy'ego. Ten napis na ogrodzeniu. Ostentacyjnie przyjazd policyjnego wozu na syrenie do wydarzenia, które nie wymagało pośpiechu ani alarmu. Anonimowe telefony od osób wyrażających swoje oburzenie z powodu wychowania syna na zdrępcę narodu. Grubymi szwami to wszystko było szyte, ale jemu nie wolno dać się sprowokować.

— Protestuję przeciwko traktowaniu mnie jak złoczyńcy! — Skala starał się być opanowany. — Informuję pana, sierżancie, że sprawę przekażę do sądu. Jeżeli pan obstaje przy swoim żądaniu, pozwól pan, że wciągnę na siebie coś odpowiedzialniejszego niż ta bonzurka i domowe pantofle...

O potrzebie lekarstwa nie wspominał. Wstyd mu było przed sąsiadami zejścia, wyraźnie zarazzonego przez jakieś sily zbijające na nim swój kapitał. Domyślał się ich.

Nazwy organizacji parających się zawodowo „patriotyzmem” nie nie mówią i tych nie ma się co czepiać, tak samo jak ludzi wymachujących na ulicy transparentami — taka była opinia Skali. Marionetki gotowe do każdego świnstwa, jeśli tylko nadaje się do wciągnięcia na maszt przy dźwiękach hymnu narodowego. Ludzie — żagle, bez wiatru — sflaczały plachty. Ale kiedy się w nie dmuchnie, prą ślepo przed siebie wedle azytmu wytyczonego przez niewidzialnego sternika. A jak widać, mogą być groźne.

Nitrogliceryna działała. Przebiegając się Skala zażył lekarstwo. W zderzeniu z nawałtą miał wziąć pod język i ssać, połknął je, a ponieważ z fiołki wysypały się dwie tabletki i były takie małe, połknął obie. Natychmiast usłyszał wskazania lekarza. Spróbował je wypluć, ale spłynęły do żołądka i pomimo wysiłków nad zlewem, tam zostały.

W skroniach waliło jak młotem. Dwa skumulowane ładunki tlenowego dynamitu naraz uderzały sobie w jego wąskich na zakrętach naczyń wleńcowych serca bezkolkizyjne arterie przelotowe. Uspokoił przerażoną jego wykładem Cinda. — Zakrzusłem się silyn — powiedział swojej czarnej służącej. — Nic mi nie jest. Policjanci chcą spisać w komisariacie protokół. Ja

Przedruk w całości lub we fragmentach zastrzeżony.

Matnia

13

LEONARD

dę z nimi, niedługo wrócę. Ale nie czekaj na mnie ze śniadaniem... nie mam apetytu.

Nie słyszał komentarzy gapiów przyglądających się ogrodzeniu, nie spojrzął na domy sąsiadów. Pusta forteca Jacksonów była neutralizowana nieobecnością Glendy. Fred Simpson jest w pracy. Al Connolly, sąsiad z lewej, też. Pozostawiali ich niepracujące żony, które takiej gratki sobie na pewno nie darowały; nie zamierzali dawać im satysfakcji awansem.

Cathi telefonowała w nocy z Londynu. Pomyliła różnice czasu: zamiast odjąć osiem godzin, dodała, i wyścignęła go z łótki. Telefonowała z lotniska Heathrow, już wiedziała o Andym.

Nie z tamtejszej prasy. Prasa brytyjska głuźstawiła z zachodniej strony kontynentu amerykańskiego się nie interesuje; nowojorski „International Herald Tribune”, szyszby od huraganu, też nie. Ale są agencje informacyjne oficjalnie nie istniejące, nigdzie nie zarejestrowane, nie mające do swojej dyspozycji stacji radiowo-telewizyjnych, dalekopisów, nie korzystające z okolicznych satelitów przekaznikowych, a dostarczające informacje adresatowi błyskawicznie, już sprecyzowane, do spotykania. O sprawie dowiedziała się od Glendy. Ale nie, są nadal razem. Ostatnie dni nie odepowały od siebie na krok. Zwidziły — Glenda, Judith i ona — wszystko, co w tak krótkim czasie dało się zwiędzić, obecnie czekają na samolot do Rzymu i Glenda, mając chwilę wytchnienia, zatelefonowała do domu, od służby — ten kobiecy laćcuszek — dowiedziała się, że Maynard jest na stałdówce w MM. Nie namyślając się, nakreśliła numer sekretu Elektroniki Nawigacyjnej Rakiet...

Rakiet. Glenda uwielbia to słowo. Na kortach zbyt często jej się nie widuje, nie te lata, ale rakiet w jej domu starczyłoby na wykwiwipowanie reprezentacji narodowych paru krajów. Rakiet, tak, ale nie w sensie: tenisowa, badmintonowa, pingpongowa. „Gnałam jak rakietę”; „Trasę przesybirowałam — o jeździe samochodem — jak rakietę”; „popędziłam moją cholerną służbę rakietowego kota”; odmianę róż, którą jej ogrodnik wyhodował, nazwała „Apollo”; szcześliwego rakietka — „Tridentem”; zamawiając rozmowę z Florydą nie mogła nie poinformować głupiej hotelowej operatorki telefonicznej, czym amerykańska „MM” się para. Ten Glendy rakietowy sposób przekazywania wieści!

— Ale proszę — błagała pani Cathi — nie posadzaj jej zaraz o złośliwość! I nie bierz sobie tego do serca. A co do Andy'ego... Chyba dobrze się złożyło, że jestem w Europie — usłyszał. — Jak tylko przyłecę do Rzymu, pomyślę o tym. — Głos żony ożywił się. — Zobaczą się z nimi Muszeli!

W słuchawkę wdaria się zapowiedź odprawy samolotu linii Alitalia, żona prosiła jeszcze, aby sprawę nie brał sobie do serca. Zadzwoń, jak tylko przyłec do Rzymu! Klik, koniec.

Maynard Jackson, główny konstruktor elektrycznych systemów nawigacyjnych stosowanych w kosmicznych pojazdach bezzałogowych, częsty gość dowództwa rakietowego US Army, figura bez dwóch zdań dużego formatu i... poczta pantoflowa. Nieporozumienie, huczalo w przedlenionym mózgu Casimira Skali, Glenda musiała coś pomylić.

Skala mógł mieć pretensje do sierżanta o posadzenie go na przednim siedzeniu na trzeciego, o jarek na syrenie jak z kryminalisty, nie mógł mu jednak sarszucć wydania go na pastwę dziennikarzy. Sierżant postawił się jak lew. — Chłopaki! — apelował ostro do mikrofonów i pstrykających aparatów fotograficznych przed komisariatem — dajcie przejście! Pan Skala nie powie ani słowa! Na miłość bożką, przejście!

— Owszem — zgodził się komendant — przysługuję panu prawo odmowy odpowiadania na pytania. Chce pan swego adwokata, proszę bardzo, możemy go wezwać, ale nie widzę powodu do windowania sprawy na scenie sądowej. Jest ona do załatwienia na miejscu — powiedział. —

Sierżant Hatfield nie uchybił pańskim prawom obywatelskim: stanął w ich obronie. Ludzie są ludźmi, nigdy nie wiadomo, jak zareagują. Zabezpieczenie pana przez ewentualnym atakiem było obowiązkiem patrolu. To była konieczność. Natomiast zabranie pana z domu, choć panu może wydać się to azykana, być może stiumilo w zarodku zawiązanie się jakiejś demonstracji. Ten pieprzony Wietnam poprzewracał ludziom w głowach. Gdyby pan wiedział, do czego pod-eksycytowany tłum jest zdolny...

Tego samego zdania był inspektor policji miejskiej, kapitan Jim Braddocks.

Inspektor Braddocks, żaden nadmuchany wadnością swojej osoby jolop, od jakich w każdej policji się rol, nie stawał w obronie swoich urzędników: obaj nie wykroczyli poza swoje uprawnienia, a o szyskanie z ich strony nie ma mowy. — Oni — miał na myśli dziennikarzy szturmujących drzwi do gabinetu komendanta — roznieśli pańskie nazwisko na strzepy. Kierując sprawę do sądu, da pan im oręż przeciwko sobie.

Inspektor Braddocks przejeżdżał przed komisariatem przypadkowo — tak brzmiała wersja oficjalna, przedstawiona komendantowi. Nieoficjalnie o jego pojawieniu się tutaj nie zdecydowało nic przypadkowego.

Braddocks od dzieciństwa był zafascynowany lotnictwem. Film „Bitwa o Anglie” widział kilka razy. Z okazji premiery tego filmu odbyło się w Londynie spotkanie królowej Elżbiety z pozostałymi przy życiu asami brytyjskiego i alianckiego lotnictwa myśliwskiego, w którym uczestniczył — było to wielkim honorem dla Seattle — jeden z bohaterów lotników, obecnie mieszkający w mieście, Casimir Skala. Po latach nazwisko to znów ukazało się na szpaltach miejscowej prasy, ale w mniej chwalebny kontekście. Braddocks od zaistnienia sprawy „Skala” miał do niej swój osobisty stosunek. Domyślał się, kto stoi za jej kulissami. Nagle zwolnienie Skali z pracy nie było dla niego tajemnicą ani zaskoczeniem. Prywatnie miał wyrobiony pogląd na „spontaniczne odruchy społeczeństwa”, oficjalnie, jako wyższy urzędnik policji podległy burmistrzowi miasta, woliał trzymać swoje opinie na wodzy. Co nie przeszkodziło mu w zjawieniu się „przypadkiem” na miejscu zdarzeń.

— Rozumiem pana dobrze — mówił Braddocks zaszyskany bliskością człowieka, żyjącego symbolem wojennego romantyzmu, dla niego legendy bohaterstwa — ale nie innego, niż machnąd na to ręką, radzić panu nie mogę. Niech pan zapomni o sytuacjach z tamtej wojny, to nie te czasy. Proszę mi wierzyć, byłoby to do-wodem rozsądku z pańskiej strony.

Wrzawa za drzwiami nie ustawała. Dopomni-nano się wywiadu z inspektorem. Nie starano się dobrać słów. Co agresywniejsze żądania mitygował donośny bas komendanta: — Ależ, miejcie litość, chłopaki. Take it easy!

— To on, słyszy pan? Głos tak zwanej opinii publicznej — cęgnął Braddocks. — I symptomatyczne: rej wśród nich wiedzie Bob Perkins z tego szmatławego brukowca... Istotnie, nie o-szczęda się pańskiego nazwiska. Syn jest na służbie NKWD, wnioskuje gazeta na podstawie jego zniknięcia z owego hotelu; być może, był

w tym czasie w Rosji na krótkim przeszkoleniu. Inazyuacja, jak powiedziałem. Z równym powodzeniem można by napisać, że odbył on podróź na księżyc. Cały ten paszkwił, oparty na „byd moce”, „prawdopodobnie”, „nie można wyklu-szyć”, wyrażony szał, jestem o tym przekonany, z brudnego palucha Perkinsa, ale — szan-szami! — z wyjęgod poduszczania. Myślę o do-branici ma się do skóry, niech pan nie zapomina, że facet trzyma się reguły gry: wszystko jest hipotezą, wnioskiem, z nie autoryzowanego źródła. A smucie na głos domysłów nie jest zaka-zane, o czym miał nieprzyjemność przekonać się sam prezydent. Do Perkinsa też pan nie może mieć pretensji: pracuje na swoje utrzymanie. Zgodnie z zasadami prawa prasowego. Jakimi zasadami? pyta pan. Jakiego prawa? Takiego, jakie wypracowane w tym kraju, a zapewniam pana, że nie jest one najgorsze. — Braddocks pozwolił sobie na położenie ręki na ramieniu Skali. — Niech pan przeczeka najgorsze. Niech pan tymczasem nabierze powietrza w płuca, a kiedy emocje wygasną, dowiedzie nieślusności podejrzenia syna. Serdecznie pana do tego namawiam, gdyż wierzę w jego lojalność względem Stanów.

Aby ujęd dziennikarzom, Braddocks zaproponował Skali odwiezienie go do domu swoim prywatnym samochodem.

Skala zgodził się z inspektorem. Bez wniesienia formalnej skargi przeciwko redaktorowi naczelnemu gazety żaden policjant nie kiwnie palcem. Ale dopiero potem zaczęło się kłopotli oskarżenie nie poparte dowodem, czyli fałszywym, może kosztować powoda fortunę, a nawet więzienie, sądy w tym wypadku są bezlitosne. Braddocks radził dobrze. Działanie na gorąco mogło tylko pogorszyć sprawę.

Wrzuszyl bezzadnie ramionami.

— Nie mogę nie przyznać panu racji, kapita-nie. Dziękuję. I jeżeli panu po drodze, to możemy jechać.

Nie niepokojei przez nikogo opuścił posterunek tylnym wyjściem.

Rozstali się przed zapakowanymi sztachetami i zdeptanym butami dziennikarzy trawnikiem.

Bungalow państwa Uustalo w lasach Kappeli jest czymś w swoim rodzaju. Północno-zachodnie wybrzeże Stanów, graniczące z Kanadą ma umiarkowany klimat, lasy bez granie, ludzi z ogromnymi pieniędzmi. Kombinacja tych rzeczy jest zauważalna na każdym kroku, może zawrócić człowiekowi w głowie. Kiedy jednak zauroczenie przepychem leśnych pałaców znika, na pierwszy plan wyląza pieniądze ich właścicieli, jak gdyby to dla nich je postaviono. „Minna” nie mogłaby konkurować z nimi blichrem, ale wygrałaby każdy wyścig o przytulność. Bez względu na to, czy jest się w niej samemu, czy w towarzystwie. Urzeczenie Finlandią przemawia przez mnie? — uśmiecha się sceptycznie Sven.

Nie będę mu tego tłumaczył.

To odudzie miało mi pomóc w dokonaniu książki. Lepszych warunków do pisania nie można sobie wymarzyć. Gdyby jeszcze zostawiono mnie w spokoju, może by coś z tego wyszło.

Jutro sobota, weekend. Od powrotu ze swojej tury po Europie Kauko siedzi w interesach po uszy, wpadnie nie wcześniej niż w niedzielę i w poniedziałek rano odjedzie do Helsinek. Re-cesja gospodarcza w świecie, zapoczątkowana gwałtowną podwyżką cen ropy naftowej, która oblecyało sobie opanować jak tylko wynajdzie się sposób na recyklację — skiderowanie z powrotem do obrotu nadwyżki petrodolarów płynących do kas krajów producentów ropy — wbrew optymistycznym prognozom pogłębia się, bezrobocie rośnie, utrzymanie pełnego zatrudnienia w licznych zakładach Ketemu wymaga od Kauko zwiększonego wysiłku. Nie będzie dużo czasu na relaks i pogaduski o łowieniu pstrągów i lososi. Oznajmię mu krótko moją decyzję.

Ten Doug Wilson! Pijaczyna. Niby zajęty tylko butelką, a jak mnie urządził! Już tylko te świadczy, że żaden z moich pracowników wywiadu, Langley powinno odetchnąć, że ma mnie s głowy. Ale oni myślą widocznie inaczej. Gdybym w siebie ludzi na party Ketemu szukał naszej wtyki, nigdy bym nie ulokował jej w Dougu. Na tym jednak polega sztuka Agencji! zgaduję, w której ręce złota kula. W tej? A fajna, pusta!

Angliyi! Zabawa w chowanego to specjality of their house.

Moja dalsza konspiracja stała się obecnie zbędna. Zadawoniłem do ojca.

Matka pragnie zobaczyć się ze mną. Jest zaalarmowana rozpętana nagonką. Mam wybrać miejsce spotkania. Nie orientuje się w moich możliwościach poruszania się po Europie, jeśli o nią chodzi, dostosuje się do każdej mojej propozycji. Podała marszrutę swojej wycieczki, ale, zastrzegła, że długo w tym towarzystwie nie wytrzymam.

C.D.N.

rys. Janusz Szymański-Giani